

www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

8
2013

Cena 10.90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 22

AUSTRALIA

SYDNEY, METROPOLIA PRZY PLAŻY

str. 42

INDONEZJA

NA CZWORAKACH
PRZEZ DŻUNGLE
SUMATRY

str. 56

HISZPANIA

OLIWKOWOZŁOTA ANDALUZJA

DUBROWNIK
I PIĘKNA KORČULA

CHORWACJA

str. 12



SUDAN

STR. 102

SALWADOR STR. 74

ZIEMIA PEŁNA KLEJNOTÓW

KOREA STR. 86

JEDEN NARÓD, DWA ŚWIATY

ARGENTYNA STR. 94

WINO JAK ANDY

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 003 216 14 308 0 8

Odkryj świat na nowo!

Wszechstronny, wytrzymały i funkcjonalny. Taki właśnie jest XT660Z Ténéré, który zawiezie Cię w najdalsze zakątki świata. Bądź gotowy do drogi, przygoda już na Ciebie czeka.

- *Motocykl zaprojektowany do jazdy w terenie. Wyposażenie nie zawiera bulwarowych gadżetów*
- *Produkowany i udoskonalany od 1983 r.*
- *Prosta, bezawaryjna konstrukcja, na dalekie wyprawy*
- *Zasięg na zbiorniku do 500 km*
- *Duży skok zawieszenia*
- *Silnik odporny na trudne warunki eksploatacyjne*
- *Duży prześwit*



Prezentowany na zdjęciu motocykl to jeden z dwóch egzemplarzy XT660Z Ténéré, na których Łukasz Jastrząb i Maciej Wojnar w 2012 roku na wyprawie Volta ao Mundo przejechali 40 tys. km przez 26 krajów na 4 kontynentach.

XT660Z Ténéré

www.yamaha-motor.pl

 **YAMAHA**
Revs Your Heart



FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

DUBROWNIK I PIĘKNA KORČULA str. 12

Te bliźniacze miasta to prawdziwe perły chorwackiej Dalmacji.
Włodzimierz Rosiński

PO DRUGIEJ STRONIE POCZTÓWKI str. 22

Opera, most Harbour plus doklejony w Photoshopie kangur lub koala – tak wygląda Sydney na większości widokówek.
Anna Dąbrowska

WSZYSCY Z TEJ SAMEJ GLINY str. 32

Gliniada to święto Bolesławca i bardzo oryginalny pomysł na spędzenie wolnego czasu. **Ilona Pietrusiewicz**

MAZUREK NA WYNOS str. 40

Felieton **Roberta Mazurka**

NA CZWORAKACH PRZEZ DŻUNGLE SUMATRY str. 42

Zdobycie szczytu ukrytego głęboko w indonezyjskim lesie deszczowym to nie lada wyczyn. **Krzysztof Struczyński**

GEOSKOP str. 52

OLIWKOWOZŁOTA ANDALUZJA str. 56

Hiszpańska Osuna słynie z najlepszej jakości oliwy i fascynujących zabytków. **Marcin Kołpanowicz**

BOA VISTA – WYMYŚLONA WYSPA str. 66

Na Wyspach Zielonego Przylądka wciąż można znaleźć dziewicze, bezludne plaże. **Jarosław Szczepankiewicz**

ZIEMIA PEŁNA KLEJNOTÓW str. 74

Majestatyczne wulkany, piękne jeziora i oceaniczne plaże – to tylko niektóre z atrakcji Salwadoru. **Anita Demianowicz**

NAVIGATOR str. 82

JEDEN NARÓD, DWA ŚWIATY str. 86

Mieszkańców Korei Północnej i Południowej dzisiaj już więcej dzieli, niż łączy. **Andrzej Bober**

WINO JAK ANDY str. 94

Argentyńska Mendoza należy do najważniejszych winnic świata.
Anna Sobotka

ŚWIAT W OBIEKTYWIE: SUDAN str. 102

Skarby Sudanu. **Jakub Śliwa**

Z PERSPEKTYWY str. 110

Kierunek Nowa Ziemia. Felieton **Ryszarda Badowskiego**

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 114

OUTDOOR str. 116

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Dubrownik





Marcin Gwizdoń

PERU

„Los Andes Kordiliera...”

Przełęcz na wysokości prawie 5.000 m n.p.m., krystalicznie czyste jeziora i pocztówkowe krajobrazy. Dzięki takim atutom szlak wiodący doliną rzeki Santa Cruz w peruwiańskiej Kordylerze Białej stał się jednym z najbardziej znanych miejsc trekkingowych na świecie.

Katarzyna Markowska

UGANDA

Przyczajona czapla, ukryte hipopotamy

Największą atrakcją Parku Narodowego Murchison Falls są zwierzęta. Można tu spotkać hipopotamy, słonie, krokodyle nilowe, bawoły i liczne gatunki ptactwa.



Mariusz Wozński

UKRAINA

Brama do Rzeczypospolitej

ZDJĘCIE ZAJĘŁO III MIEJSCE W KONKURSIE FOTOGRAFICZNYM POZNAJ ŚWIAT I PLACEKNOW.COM „ŚWIAT JEST PIĘKNY POZNAJ ŚWIAT”

Twierdza w Kamieńcu Podolskim przez kilka wieków była jedną z najważniejszych warowni na kresach Rzeczypospolitej. Zвано ją przedmurzem chrześcijaństwa lub bramą do Polski.



Jordi Chias (Hiszpania)

HISZPANIA

Morski klejnot

Armenime, mała zatoczka u wybrzeży Teneryfy, jest miejscem, gdzie żółwie morskie gromadzą się w poszukiwaniu pożywienia na podwodnych łąkach. Podobnie jak siedem pozostałych gatunków, żółw zielony jest zagrożony, a jego populacja na świecie zmniejsza się. Poluje się na nie dla atrakcyjnych skorup. Zagrożeniem dla żółwi są również sieci rybackie, w które się zaplątują.

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2012, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.

W DNIACH OD 4 DO 29 SIERPNI 2013 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W BIAŁOWIESKIM PARKU NARODOWYM, BIAŁOWIEŻA, PARK PAŁACOWY 5. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL



© JORDI CHIAS, HISZPANIA, „Żółwi klejnot”

Dariusz Małkowski

POLSKA

Kasownik

Gdy wjeżdżaliśmy do ogrodu zoologicznego w Świerkocinie, położonego w pobliżu Parku Narodowego „Ujście Warty”, przywitał nas wyjątkowy bileter. Tamtejsze safari to pierwsze w Polsce zoo, po którym można poruszać się samochodem. Zwiedzających od zwierząt nie odgradzają ani kraty, ani szyby, ani nawet fosy. Oprócz świerkocińskiego ogrodu typu safari można znaleźć jeszcze na Ziemi Łódzkiej (Borysew) oraz na Mazurach (Zatyki, Okrągłe).



Artur Kalinowski

CHORWACJA

Nie lada kaskada

ZDJĘCIE ZAJĘŁO II MIEJSCE W KONKURŚIE FOTOGRAFICZNYM
POZNAJ ŚWIAT I PLACEKNOW.COM „ŚWIAT JEST PIĘKNY
POZNAJ ŚWIAT”

Skradinski Buk to najszynniejszy wodospad Parku Narodowego Krka. Składa się z 17 kaskad o szerokości 200-400 metrów i łącznej długości 800 metrów. Wokół wodospadu wyznaczono trasę widokową, z której można podziwiać jego kaskady i dopływy rzeki.



ZDJĘCIE ZAJĘŁO I MIEJSCE W KONKURSIE
„ODKRYWAMY MAŁOPOLSKĘ”, KTÓREGO PATRONATEM
BYŁ MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.

Marek Bednarz

POLSKA

Staw starożytny

Wyspa na Stawie Potykowskim znajduje się w Brzeszczach, na obszarze Natura 2000, który chroni tutaj kompleks kilkunastu starych stawów rybnych. Pierwsze z nich powstały już w 1473 roku. Ten na zdjęciu jest jednym z większych i leży kilkaset metrów od Wisły.



Prześlij zdjęcie!

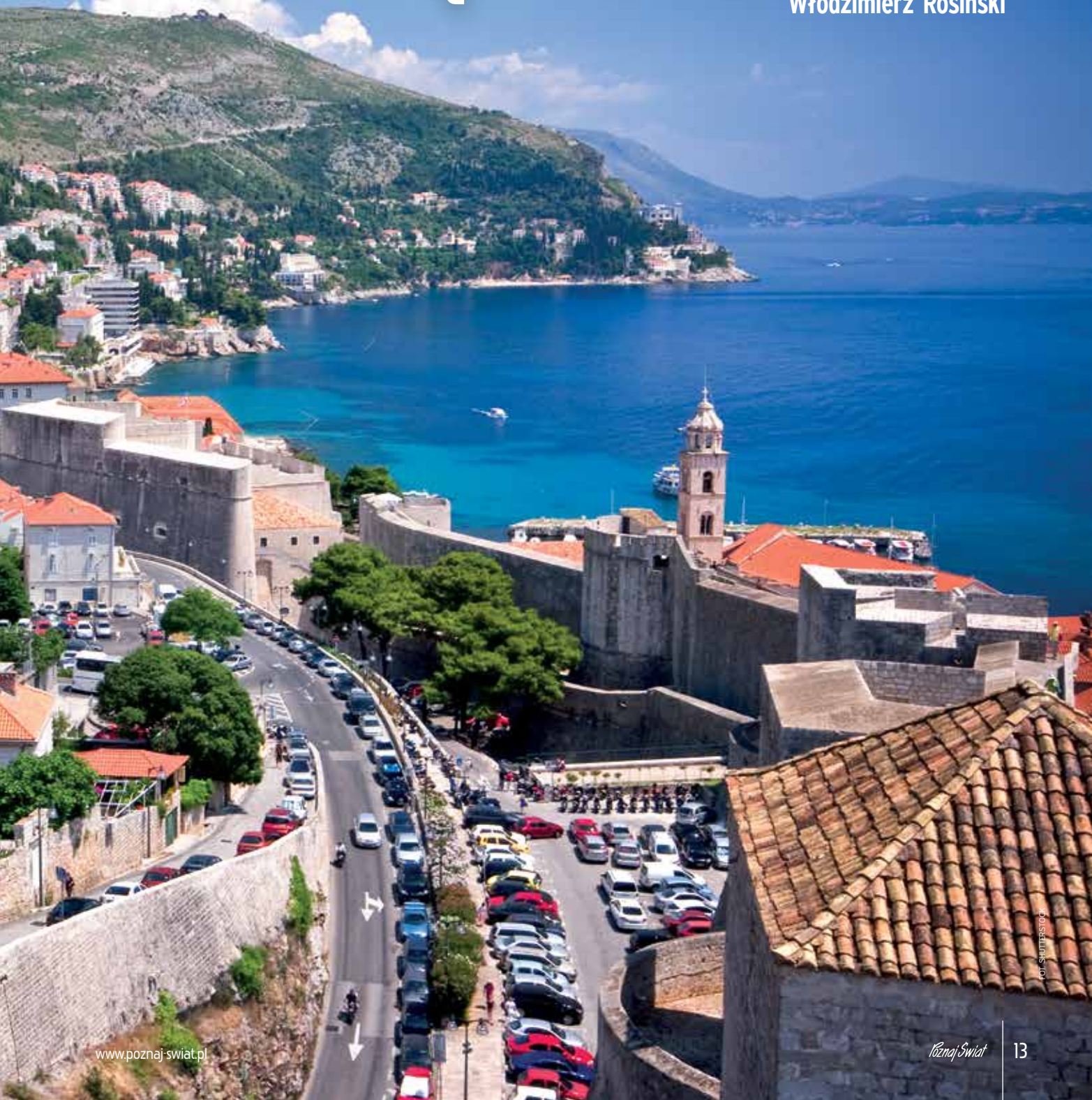
Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.





DUBROWNIK I PIĘKNA KORČUŁA

Włodzimierz Rosiński





Dalmacja kusi zabytkowymi miastami, szmaragdowymi zatoczkami wciśniętymi między skały i dzikimi plażami na wyspach rozrzuconych wzdłuż brzegu Adriatyku. Wśród tych miejsc wyjątkowym blaskiem świecą dwie gwiazdy: Dubrownik i jego „mniejsza siostra” – Korčula.

Dubrownik, leżący na południowym krańcu Dalmacji, zachwyca średniowieczną architekturą i malowniczym położeniem na skalistym cyplu między Górami Dynarskimi a archipelagiem Wysp Elafickich. Kto raz go zobaczy, temu żadne inne miasto nie wyda się już tak piękne. Dlatego warto go zostawić na koniec podróży, a zwiedzanie rozpocząć od Korčuli – wyspy odległej o zaledwie 120 km. Jej stolica

– miasto Korčula – nazywana jest Małym Dubrownikiem i nie ustępuje słynnej Perle Adriatyku w niczym, poza rozmiarami.

RYBA Z KLIMATYZACJĄ

Korčula wita podróżnych labiryntem 48 przybrzeżnych wysepek, nad którymi wylaniają się masywne mury miasta. Podobnie jak Dubrownik jest ono położone na skalistym cyplu,



ze starówką otoczoną pierścieniem murów obronnych i półkolistymi basztami z XV wieku. To jedno z najlepiej zachowanych średnio-wiecznych miast Adriatyku.

Założona przez Greków w VI wieku p.n.e. jako kolonia, przechodziła liczne okupacje. Panowali tu Rzymianie, Goci, Bizantyjczy-cy oraz Wenecjanie, którzy władali wyspą od 1000 do 1797 roku. Doprowadzili oni Korčulę do rozkwitu. Zaplanowali miasto tak, aby mia-ło naturalną klimatyzację. Układ ulic przypomina rybi szkielet: od głównej drogi odchodzi szereg równoległych uliczek poprowadzonych pod takim kątem, by wpadał w nie łagodny wiatr jugo wiejący od morza, nie zaś zimny, porywisty i siejący zniszczenia wiatr bora z gór. To rozwiązanie do dzisiaj zapewnia mieszkań-com chłód, ciszę i spokój.

Godzinami można błądzić po uliczkach tak wąskich, że rozkładając ręce, dotyka się

ścian kamienic. Za każdym razem odkrywa się nowy detal architektoniczny – renesan-sowe okno, gotycki portal, skrzydlatego lwa (herb Republiki Weneckiej) czy kamienną ławeczkę. Można usiąść pod arkadami ratusza z 1525 r. i patrzeć, jak staje się on natchnie-niem dla malujących go artystów. Ze zdziwie-niem stwierdzić, że każda z uliczek kończy się schodami, a za bramami kryją się wspaniałe dziedzińce. Przeciskając się między murami, trafić na Muzeum Ikon. Całkiem niechcący zajrzeć do okien, gdzie w kilkusetletnich ka-mienicach toczy się normalne życie. Przysiąść w którejś z licznych kafejek, by skosztować owoców morza i tutejszej rakii. A może wy-pić koktajl na dachu średniowiecznej baszty Zakerjan, na którą kelnerzy wciągają tace po sznurze. Albo oprzeć się o weneckie armaty na wieży Wszystkich Świętych i kontemlować panoramę widocznego po drugiej stronie cie-

MNIEJSZA SIOSTRA

**Widok na Korčulę.
Na zdjęciu po lewej
większy brat Dubrownik.**



WYSPY ELAFICKIE

Między Korčulą a Dubrownikiem rozciąga się zielony archipelag.

FOT. SHUTTERSTOCK

śniny Orebia miasteczka u stóp majestatycznej góry Ilija (961 m n.p.m.).

Na starówkę z portu wchodzi się po neobarokowych schodach zakończonych Bramą

Wśród nich zwraca uwagę XV-wieczna katedra św. Marka z górującą nad miastem misternie zdobioną kopułą – największy i najpiękniejszy zabytek w Korčuli.

POLO MARKET

Mieszkańcy Korčuli są dumni ze swego sławnego rodaka. W sklepach z szyldem Marco Polo sprzedaje się pamiątki po wielkim żeglarzu: kopie map, lunety i kompasy z epoki czy bardziej współczesne – koszulki z jego imieniem.



FOT. WŁODZIMIERZ ROSIŃSKI

Miejską w czworokątnej, monumentalnej baszcie Revelin. Za nią zaczyna się świat renesansu i gotyku z weneckimi pałacami patrycjusz (Gabrielis i Arneri), pałacem biskupim, niezliczonymi kapliczkami i kościołami.

MARCO POLO, PIRACI I OSMANOWIE

Tuż obok katedry stoi druga najważniejsza budowla w mieście – dom, w którym najprawdopodobniej w 1254 r. urodził się słynny podróżnik Marco Polo. Budynek wyróżnia się charakterystyczną czworokątną wieżą, z której roztacza się

widok na miasto i okalający je łańcuch wysepek. Dzisiaj mieści się tu muzeum poświęcone słynnemu żeglarzowi. Zachowały się stare mapy, rękopisy i przyrządy nawigacyjne. Duch Marco Polo jest wszechobecny, jego imię no-



szą ulice, kafejki, lodziarnie, sklepy, piekarnie. Kto będzie miał szczęście znaleźć się na Korčuli 7 września, może wziąć udział w inscenizacji wielkiej bitwy morskiej między flotami Wenecji i Genewy z 1298 r., w której Marco Polo został pojmany i wtrącony do więzienia na Korčuli, gdzie zmarł 25 lat później.

Na tych, którzy odwiedzą wyspę 29 lipca, czeka inna atrakcja. Tylko tutaj można zobaczyć Moreskę, niezwykle widowisko taneczno-muzyczne, którego tradycja sięga XVII wieku. Niedługo odgrywana w wielu krajach, do dzisiaj przetrwała tylko na Korčuli. To efekt połączenia różnych kultur istniejących na wyspie: Korčula w przeszłości stanowiła przystań dla piratów, a muzułmanie byli tu obecni od 1571 r.

Przed Bramą Miejską rozgrywa się rycerski spektakl (odgrywany kilka razy w tygodniu przez cały sezon w kinie letnim na starówce). Stare mury zapełniają dwa wojska: „białe” to żołnierze muzułmańscy dowodzeni przez Osmana, a „czarne” to piraci na czele z królem Moro, który porwał muzułmańską księżniczkę Bulę. To o nią toczy się walka. Zakochany

pirat chce zmusić dziewczynę do miłości, ale ta wzywa na pomoc ukochanego Osmana, gdyż woli umrzeć, niż pokochać innego.

O DUBROWNIKU, PERLE ADRIATYKU

W ciągu dwóch godzin dojedziemy do Dubrownika. Tutaj może się wydawać, że teraz oglądamy wszystko w skali mega. Początki miasta były podobne jak Korčuli. W VII wieku na przybrzeżnej skalistej wysepce zaczęli osiedlać się greccy uchodźcy, zakładając tu osadę rybacką o nazwie Laus. Po drugiej stronie wąskiego kanału Słowianie zbudowali Dubrawę. W XII w. grody połączyły się, cieśninę zasypano, a w jej miejscu powstała Placa, zwana też Stradum – główna ulica jednego już miasta, Ragusy, przemianowanego później na Dubrownik.

Najlepiej zwiedzać go w kilku etapach. Na początek warto opłynąć łodzią, by w pełni docenić ogrom murów obronnych okalających starówkę. Zbudowane między XIII a XVI

KORČULA W PIGUŁCE

Po lewej: Zabytkowe kamieniczki stoją tak blisko siebie, że trzeba się między nimi przeciskać.

Na górze: Miasto otaczają fortyfikacje, do których prowadzą monumentalne, neobarokowe schody kończące się Bramą Miejską wychodzącą wprost na starówkę.

Na dole: Port jest położony malowniczo przy zachodnim skraju Starego Miasta.



MURY NIE RUNĄ

Mury obronne wzniesiono w XIV wieku, otaczając nimi połączoną wówczas osadę Ragusa-Dubrownik. Od tego czasu fortyfikacje nieustannie wzmacniano, podwyższano i dobudowywano nowe fortece. Konstrukcja murów jest tak solidna, że nie zniszczyło jej nawet wielkie trzęsienie ziemi w 1667 r.

wiekami, zachowały się w idealnym stanie i są najpotężniejszymi obiektami tego typu na świecie. Mają 2 km długości, do 6 m szerokości i 25 m wysokości. Zachwycają ponad 20 bastionami i basztami. Nigdy nie zostały zdobyte. Można po nich spacerować niczym po tarasie, z którego jednej strony rozciąga się panorama miasta z morzem czerwonych dachówek, a z drugiej – szafirowy Adriatyk, którego fale rozbijają się o malowniczą wyspę Lokrum i jej pionowe skały.

Po zejściu z tej niezwyklej promenady czas na zwiedzanie zabytków. Odbywa się ono pieszo, bowiem wszystkie zlokalizowane są wzdłuż szerokiej ulicy Placa, biegnącej przez środek Starego Gradu. Zbudowana jak cały Dubrownik z białego wapienia, wypolerowanego przez wieki przez tysiące stóp, lśni niczym lustro, w którym odbijają się tłumy turystów, a wieczorami światła latarni. Deptak przecina prostopadle szereg wąskich, równoległych uliczek, poprowadzonych tak, by zapewniały wentylację miastu. Wzdłuż stoją wysokie, niemal identyczne kamienice z wapienia, z zielonymi żaluzjami.

Wędrowkę najlepiej rozpocząć od przyciągającej uwagę okrągłej, niewysokiej budowli, zakończonej kopułą z otworem po środku. To Wielka Fontanna Onufrego. Wzniesiona została w 1438 r. przez Onofrio di Giordano della Cava dla uczczenia końca budowy wodociągu miejskiego. W miejscu, gdzie dzisiaj stoi nietypowa fontanna, trysnęło z niego pierwsze źródło. Woda wypływa z ust 16 rzeźbionych masek. Podobno, jeśli ktoś umyje ręce pod wszystkimi 16 kranami, obchodząc fontannę zgodnie z ruchem wskazówek zegara, spełni się jego życzenie. Za fontanną stoi dawny żeński klasztor św. Klary, w którym w 1434 r. utworzono jeden z pierwszych na świecie sierocińców.

Tuż obok można podreperować zdrowie w prawdopodobnie najstarszej aptece w Europie, działającej od 1391 r. w gotyckim klasztorze franciszkanów. Do dzisiaj zachował się tam wspólny dziedziniec otoczony podwójnymi

kolumnami zwieńczonymi rzeźbami ludzkich głów, zwierząt i roślin. To właśnie na nim mnisi uprawiali zioła, z których później sporządzali mikstury. Z klasztorem sąsiaduje niewielki renesansowy kościółek św. Zbawiciela, będący jedną z nielicznych budowli, które przetrwały wielkie trzęsienie ziemi w 1667 r.



FOT. WŁODZIMIERZ ROŚKESKI

Położyło ono kres złotemu wiekowi miasta z przełomu XV i XVI w., w czasach Republiki Dubrownickiej. Kataklyzm pochłonął niemal wszystkie zabudowania i zabił 5000 osób, czyli trzy czwarte mieszkańców. Wspomnieniem dawnej świetności są XV-wieczne pałace Rektorów i Sponza z krużgankami, bogato zdobionymi gotyckimi i renesansowymi oknami, tak odbiegającymi od późniejszej skromniejszej architektury.

DZIURAWA FONTANNA
Wielka Fontanna Onufrego przy wejściu do Starego Miasta w Dubrowniku. Okrągła budowla na pierwszy rzut oka wcale nie przypomina fontanny.



WINO Z KONOBY

Stradum, reprezentacyjna ulica Starego Miasta, biegnie w miejscu, gdzie kiedyś był kanał oddzielający północną i południową część Dubrownika. Dziś wzdłuż ulicy stoją niezliczone *konoby*, czyli knajpki, w których można wypić niedrogie, ale dobre wino i postuchać chorwackiej muzyki.

W RYTMIE POLAKO

Centrum Starego Miasta wyznacza kolumna Orlanda z 1418 r. Przedstawia rzeźbę średniowiecznego rycerza, którego pierwowzorem był bohater znany z lektury pt. „Pieśń o Rolandzie”. Na wieńczącym ją balkoniku gońcy czytali obwieszczenia, tutaj odbywały się ważne zgromadzenia i publicznie karano przestępców. Długość prawego przedramienia wojownika służyła jako oficjalny wyznacznik miary, tzw. łokieć dubrownicki. Przez lata był to jedyny świecki pomnik w mieście, który stał się symbolem wolności Dubrownika i do dzisiaj jest ulubionym miejscem spotkań mieszkańców.

Nad głównym placem Luza góruje Wieża Zegarowa z 1444 roku, wysoka na 31 m. Skomplikowany zegar astronomiczny ma szereg wskazówek, z których jedna pokazuje godziny, a pozostałe – fazy księżyca. Nie ma natomiast wskazówki minutowej, co jest typowe dla Chorwatów żyjących „polako, polako”, czyli powoli, powoli, nie odmierzając minut. Co godzina ożywają figurki z brązu, które ude-

rzają w dzwon. Obracająca się szarozłota kula pokazuje fazy księżyca.

Opiekę nad miastem sprawuje św. Błażej. Rzeźbę patrona trzymającego makietę Dubrownika sprzed trzęsienia ziemi można spotkać w wielu miejscach, ale najokazalsza jest ta ze srebra w barokowym kościele św. Błażeja.

Nie można pominąć katedry Wniebowzięcia NMP ze złotymi zdobieniami, malowidłem Tycjana, ołtarzem z fioletowego marmuru i bogatym skarbcem kryjącym relikwie św. Błażeja.

Na pożegnanie warto nacieszyć oczy widokiem Dubrownika z lotu ptaka. Jest taka możliwość, bo po 19 latach odbudowano zniszczoną podczas wojny w 1991 r. kolejkę linową. Trzydziestoosobowa gondola, unosząc się nad miastem, wiezie turystów na górę Srd na wysokość 405 m n.p.m. Ze wzgórza roztacza się niezapomniana panorama: z jednej strony Dubrownik z równą siatką uliczek, widok na port i wyspy Adriatyku, z drugiej potężne góry Bośni i Hercegowiny. ○

Rejsy Wycieczkowe

TOURS
GRUPA ATLAS TOURS

Costa

**W CENIE:
PEŁNE WYŻYWIENIE,
WIDOWISKA, KONCERTY,
DYSKOTEKI, ANIMACJE,
BASENY, SIŁOWNIA
I JACUZZI**



MAGIA GRECJI - 8 DNI

STATEK:
Costa Magica****

TRASA:
Wenecja - Bari - Katakolon
- Pireus (Ateny) - Santorini
- Korfu - Dubrownik - Wenecja

TERMIN:
lipiec - listopad 2013

HIT SEZONU!!!

OD
229 EUR/OS.
+ 120 EUR (OPŁATY PORTOWE)

Z WENECJI PO STAMBUŁ - 8 DNI

STATEK:
Costa Fascinosa****+

TRASA:
Wenecja - Bari - Katakolon
- Izmir - Stambuł
- Dubrownik - Wenecja

TERMIN:
lipiec - listopad 2013

HIT SEZONU!!!

OD
229 EUR/OS.
+ 120 EUR (OPŁATY PORTOWE)

HISZPANIA, WŁOCHY I MALTA - 8 DNI

STATEK:
Costa Favolosa****+

TRASA:
Savona - Barcelona
- Majorka - Malta - Sycylia
- Neapol - Savona

TERMIN:
lipiec - listopad 2013

HIT SEZONU!!!

OD
229 EUR/OS.
+ 120 EUR (OPŁATY PORTOWE)

Z SZANGHAJU DO SINGAPURU - 15 DNI

STATEK:
Costa Victoria****

TRASA:
Szanghaj - Okinawa - Hong
Kong - Sanya - Da Nang
- Ho Chi Minh City - Singapur

TERMIN: 09.10 - 23.10.2013

**POLSKI PILOT
HIT SEZONU!!!**

OD
1059 EUR/OS.
+ 290 EUR (OPŁATY PORTOWE)

infolinia: 32 43 40 380 - www.namorzu.pl

Maszyna leciała na tyle nisko, że było widać zatokę, górujący nad nią Harbour Bridge oraz lśniąca muszle Opery. Tak wygląda Sydney na większości pocztówek – plus doklejony w Photoshopie kangur albo koala.

Anna Dąbrowska

PO DRUGIEJ STRONIE POCZTÓWKI







Sydney to ogromne miasto. Kosmopolityczna metropolia, do której jadą imigranci z całego świata. Jej przedmieścia ciągną się we wszystkie strony. Składa się z 38 mniejszych miejscowości, z których każda ma własny samorząd. Najprostsze do nauczenia jest centrum – równe kwaterały szerokich ulic, które prowadzą ku wodzie.

W SERCU METROPOLII

Sydney, dziś wielkie i nienasycone, zaczęło powstawać w końcu XVII wieku, niedługo po tym, jak dotarł w to miejsce James Cook i jego ferajna. Na początku wysyłano tu więźniów z Europy. Swoje trzy grosze do rozwoju miasta dołożyła też ludność napływająca z Azji Południowo-Wschodniej i Chin.

W sercu miasta dominuje imperialna architektura. Stare stoi obok nowego, a przez ulice przetaczają się tłumy mieszkańców. Przy George Street mieści się między innymi wspaniały Budynek Królowej Wiktorii – obecnie ekskluzywna galeria handlowa. Warto przyjrzeć się sztukateriom nad wejściami i pysznie urządzonemu wnętrzu. Przed gmachem na cokole siedzi, odlana z brązu, sama królowa.

Na ulicach nikogo nie dziwią liczni biegacze – sport jest ważną częścią życia Australijczyków i wielu z nich maszeruje do pracy po rannym joggingu lub basenie. Oryginalnie prezentują się kobiety w eleganckich biznesowych strojach zestawionych z adidasami lub japonkami. Tak wygodniej chodzić po ulicy czy prowadzić samochód. W centrum można napotkać luźno ubranych panów, a także skośnookie dziewczyny w nieśmiertelnych ciuchach *japan style*. Hipsterzy też mają swoją silną reprezentację. Dla kontrastu, do szkół maszerują uczennice w jednakowych sukienkach i chłopcy w marynarkach i krawatach.

W tutejszym Hyde Parku, leżącym w samym środku miasta, podczas przerwy na lunch na trawie odpoczywają sydneyjczycy. Między nimi przechadzają się ibisy. Są przyzwyczajone do ludzi, ale trudno je podejść. Zrobić zdjęcie ibisowi to niezły wyczyn. Po zmroku można tu spotkać possuma – stworza całkiem sporego i „myszopodobnego”, o dużych i czujnych uszach.



FOT. SHUTTERSTOCK

Ulice tętnią życiem, zaś wieczorem funkcje rozrywkowe pełni Darling Harbour z nieprzebraną ilością knajpek i restauracji, z których wprawdzie nikt nie wyjdzie głodny, ale na pewno z mocno odchudzonym portfelem.

Stąd już tylko krok do oceanarium. Sydney Aquarium to atrakcja dla małych i dużych. Za szkłem utworzono wnętrze oceanu; jest prawdziwa rafa koralowa, są wielobarwne ryby, rekiny, płaszczki, foki i inne stworzenia, których nazwy trudno spamiętać.

Niedaleko znajduje się też chiński ogród oraz Chinatown. Chińczycy mają w mieście bardzo silną i liczną diasporę. Park, stworzony na wzór prywatnych chińskich ogrodów, otwarto w 1988 roku i nadano mu nazwę The Chinese Garden of Friendship. Miało to symbolizować przyjaźń pomiędzy Australią a Chińską Republiką Ludową.

OPERA NIE ZA TRZY GROSZE

Z daleka lśni w blasku mocnego popołudniowego słońca, a opadające na siebie konchy tworzą niezapomniany ekspresjonistyczny klimat. Pokryta jest płytkami w dwóch odcieniach, które

z bliska nie są ani białe, ani specjalnie błyszczące i przypominają zwykłą posadzkę w kolorze zabru-



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

dzonej bieli. Całkowicie białe poszycie w mocnym dziennym świetle uniemożliwiałyby podziwianie opery bez zmrużenia oczu.

Za budową tego reprezentacyjnego budynku Australijczycy opowiedzieli się w ogólnokrajowym referendum. Cena nie miała znaczenia. Budowla po prostu miała być. Autorami projektu, który zwyciężył w konkursie w 1957 roku, okazali się duńscy architekci – Jørn Oberg Utzon i Ove Aarp. Wygrali, choć

PAPUŻKI

Białe kakadu z żółtym irokezem w Sydney spotkać można prawie wszędzie. Oswojone z ludźmi, chętnie siadają im na rękach.

OPERA WYOBRAŹNI

Sydney Opera House to znak rozpoznawczy miasta. Każdemu kojarzy się z czymś innym: muszlami, łupinami pomarańczy lub żaglami statku. Z bliska również wygląda zaskakująco.

ich projekt był tylko ogólnym szkicem. Jednak musiał się czymś wyróżniać spośród 232 prac. Podobno Utzon zainspirował się skórką od pomarańczy i półksiężycowy kształt łupiny przeniósł na papier. Na miejsce budowy wybrano Bennelong Point, półwysep, na którym kiedyś mieszkali Aborygeni.

Do dzieła przystąpiono w

1959 roku, a skończono je dopiero w latach siedemdziesiątych. Rozmach inwestycji, a także jej koszty przeszły wszelkie wyobrażenia. Korpus w kształcie muszli wymagał wielu poprawek i przeróbek. Modelowanie sklepień zajęło osiem lat, zaś ułożenie 1 056 006 płytek – kolejne trzy. Społeczeństwo się niecierpliwiło, zaś jego frustracja nieukończoną budową zamieniła się nawet w uliczne manifestacje. W końcu Utzonowi odebrano prawo do kierowania projektem. W atmosferze skandalu i niesławie opuścił Australię, zaś opiekę nad budową przejęła grupa młodych australijskich architektów. Gmach ukończono, a uroczystego otwarcia dokonała sama Elżbieta II.

Opera stała się symbolem miasta, odbywały się w niej prestiżowe koncerty, turyści przylatywali z całego świata, aby ją obejrzyć i sfotografować. Dopiero wtedy duńskiego architekta znowu zaproszono do Australii i uhonorowano.

Sydney Opera House pięknie wygląda po słonecznym dniu, kiedy na muszlach kładą się pomarańczowozłote refleksy. Zachwyca też w noc sylwestrową, podczas najbardziej spektakularnego na świecie pokaz sztucznych ogni. W budynku mieszczą się sale koncertowo-widowiskowe, studio nagrań, niezliczona ilość garderób, restauracje i bary. Do stać się na przedstawienie? Trzeba mieć szczęście.

KULTURA PLAŻOWA

Sydney ma siedemdziesiąt plaż. Najsłynniejsze z nich to Manly i Bondi. Na nich koncentruje się surfingowe życie miasta. Obie dorobiły się opinii kulturowych, dlatego wielu turystów wizytę w Sydney zaczyna właśnie od nich. Woda i sporty wodne są mocno zakorzenione w australijskiej świadomości. Surfowanie na falach to ważna część życia nad oceanem,



Aleksandra Lech
ekspert ubezpieczeń
podróżnych
w Ergo Hestia

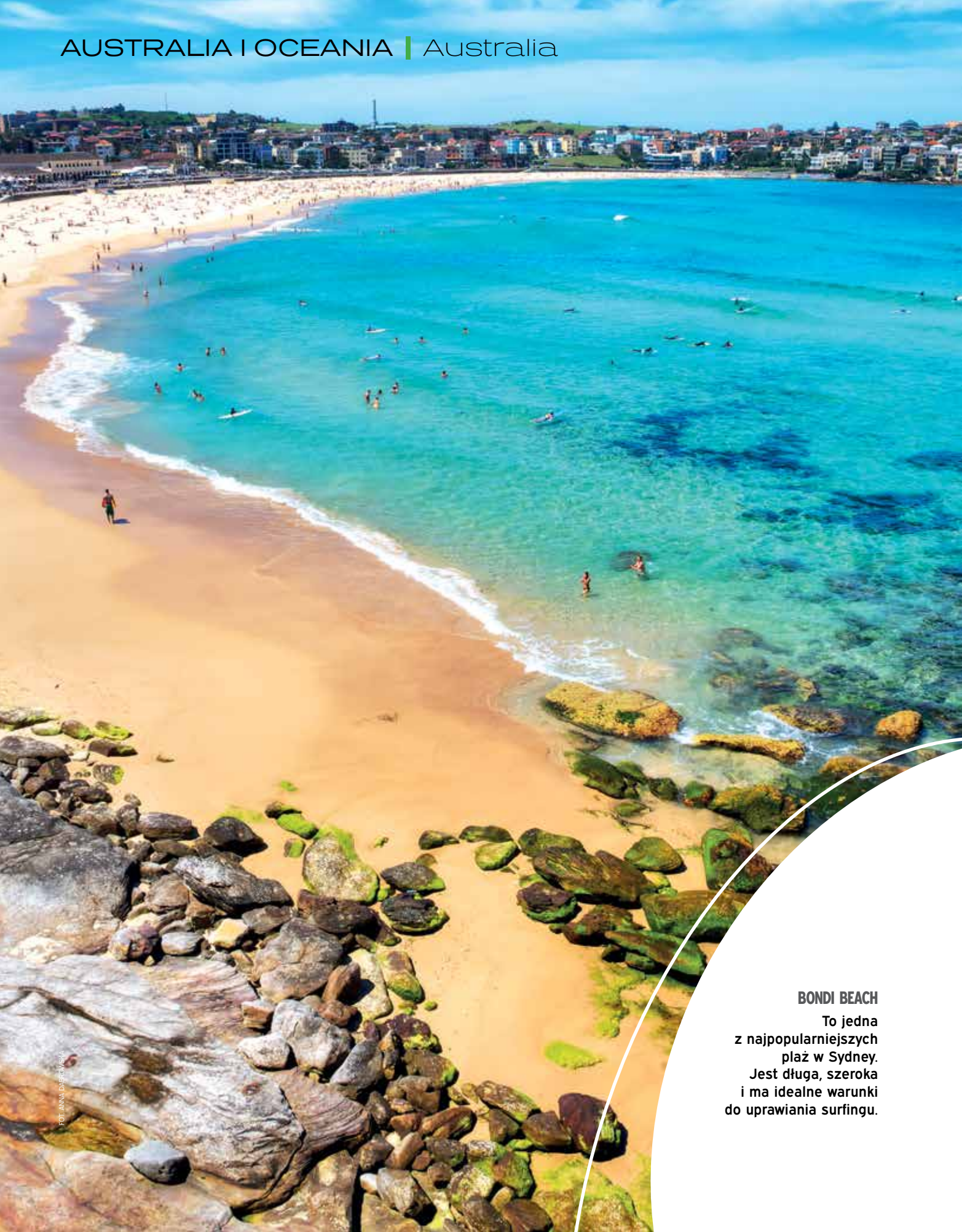
Planując wyprawę do tak dalekich krajów jak Australia powinno się pamiętać o dobrym przygotowaniu i... odpowiednim ubezpieczeniu. Kupując polisę należy zwrócić szczególną uwagę na:

1. Rozszerzenie zakresu ubezpieczenia o szkody powstałe w wyniku uprawiania sportów wysokiego ryzyka - często zalicza się do nich surfing, nurkowanie i wspinaczkę górską.
2. Ubezpieczenie kosztów leczenia z uwzględnieniem zakresu i sumy ubezpieczenia - wysokie temperatury mogą powodować problemy z krążeniem czy udary słoneczne; zabezpieczy to również na wypadek zatruc pokarmowych, ukąszeń, ataków węży lub innych niebezpiecznych zwierząt.
3. Ubezpieczenie bagażu – uwaga na wyłączenia z zakresu ubezpieczenia bagażu elektronicznego sprzętu przenośnego, np. aparatów do robienia zdjęć pod wodą. Ergo Hestia oferuje ubezpieczenie tego typu sprzętu w ramach pełnego wariantu ubezpieczenia.

W Ergo Hestii klient chcący ubezpieczyć się na okres wyjazdu do Australii ma do wyboru 3 zakresy oraz rozszerzenia.

W tym przypadku rekomendowana suma ubezpieczenia na koszty leczenia powinna wynieść ok 50.000 USD.

Na tak daleki wyjazd zalecany jest Wariant Pełny Ubezpieczenia (Holiday Charter Plus).



FOT. ANNA DĄBKOŃSKA

BONDI BEACH

To jedna z najpopularniejszych plaż w Sydney. Jest długa, szeroka i ma idealne warunki do uprawiania surfing.

MIEJSCE GRZMOTÓW

Po aborygeńsku Maroubra.
Mimo groźniej nazwy plaża
ta jest kameralna
i spokojna.



zaś bycie surferem to nie tylko ciekawe hobby, lecz styl życia odwołujący się do wolności, zabawy, ryzyka i przygody. W reklamach popularnych australijskich marek, jak Billabong czy Rip Curl, lansuje się wizerunek surfera o jasnych poczochranych włosach, uśmiechu jak z katalogu i niebieskookim spojrzeniu. W istocie wielu surferów tak właśnie wygląda.

Wiele plaż, na które chodzi się nie tylko w weekend, nosi aborygeńskie nazwy. Popularna Bondi, po aborygeńsku – *boondi*, to „miejsce, w którym woda załamuje się nad skałami”. Kameralna plaża Coogee zawdzięcza swoją nazwę słowu *koojah*, co oznacza „śmierdzące miejsce”. Prawdopodobnie chodziło o wyrzucane przez morze wodorosty... Spokojna i niezatłoczona, otoczona sennym przedmieściem, plaża Maroubra to „miejsce grzmotów”. Faktycznie, spienione fale potrafią tu walić w skały z ogromną siłą. Podobno są tu najlepsze warunki surfingowe w całym mieście, ale w popularności ustępuje Bondi czy Manly. W skałach Maroubry zrobiono basen, który od morza odgradzają specjalne łańcuchy. Kąpiel w nim stanowi mocne przeżycie.

W Maroubrze na początku lat 1990. powstał gang młodzieżowy Bra Boys, złożony z surferów. Gang działa do dziś, jednak na próżno szukać na plaży weteranów z poprzednich dekad – obecnie rządzą tu młodziki, których co jakiś czas musi uspokajać policja.

DOTKNIJ KOALĘ

Koale nie są misiami, choć z misiami mogą się kojarzyć. Te nieduże, puchate i popielate stworzonka są torbacznymi. Ich populacja w Austr-

lii jest niestety zagrożona. W latach dwudziestych zeszłego wieku padały ofiarą masowych polowań, bo ich futro stało się towarem eksportowym, dobrze sprzedającym się za granicę. Urbanizacja i rozwój miast wypędziły koale z naturalnych miejsc bytowania. Zagrożeniem są dla nich drogi i autostrady. Koala przechodzący przez jezdnię nie ma szans na przeżycie.

Podobnie jest z kangurami, one również giną na drogach, ale jest ich bardzo dużo i już dawno temu zostały uznane za szkodniki. Mięso kangura jest jednym z australijskich przysmaków. Z ich łapek robi się turystyczne pamiątki, a skóra przerabiana jest na torebki, portfele lub kapelusze.

W Australii powstają stowarzyszenia i fundacje, które mają na celu ochronę koali oraz edukowanie mieszkańców o zachowaniach i trybie życia tych zwierząt. Koala śpiący na drzewie eukaliptusa w prywatnym ogrodzie nikogo nie powinien dziwić, ale jest to coraz rzadszy obrazek. Dlatego, aby zobaczyć go, trzeba się wybrać do jednego z parków z endemicznymi gatunkami zwierząt, na przykład do Featherdale Wildlife Park. Koale są tam największą atrakcją, ponieważ można je dotknąć. Popielate futerko jest delikatnie szorstkie, ale bardzo miłe w dotyku. Prowadzą nadrzewny tryb życia, żywią się liśćmi eukaliptusa i ogólnie są dość ospałe. Mimo to w jednym z wybiegów zauważyłam poruszenie

SZKODA, ŻE SZKODZĄ

Walabia, mały torbacznik z rodziny kangurowatych. Te przyjazne zwierzątka uważane są jednak za szkodniki i wyłapywane dla mięsa i futra.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



I'M ABORIGINAL

Rdzenni mieszkańcy Australii, kiedyś zepchnięci na margines życia społecznego, stopniowo odzyskują swoją pozycję. Jednak widok Aborygena w białej dzielnicy to wciąż rzadkość.

– miś wcale nie siedział na drzewie, lecz kręcił się na ziemi. Był bardzo zainteresowany tymi, którzy przyszedli go obejrzyć, próbował również obudzić kolegów.

W parku, poza tymi charakterystycznymi zwierzętami, spotkałam również psa dingo, wombata (akurat był zajęty kopaniem nory), kolczatkę, krokodyla oraz stada wspaniałych ptaków. Przy wyjściu czekało na mnie jeszcze jedno wzruszenie – mała walabia, która okazała się sierotką. Siedziała w torbiezymanej przez parkowego pracownika. Widząc moje zainteresowanie, natychmiast przekazał mi torbę wraz z zawartością: – *Masz, a jak ci się podoba, możesz zabrać do domu.*

Tylko uważaj na meble, one potrafią zniszczyć każdy fotel! Nie zabrałam.

AUTOBUS WESOŁYCH ABORYGENÓW

Na przystanku Maroubra Junction do autobusu wsiadają Aborygeni. Jadą do siebie, do zatoki La Perouse. Zajmują tylną część pojazdu i głośno włączają muzykę, która po chwili okazuje się akompaniamentem do ich własnego śpiewu:

I'm Aboriginal, yes I am

I'm original, yes I am

I was first on that Land...

Na terenie Sydney udokumentowano ponad pięć tysięcy aborygeńskich śladów. Ale Aborygeni są coraz mniej widoczni. Odeszli, schowali się, nie zaglądają do białych dzielnic. Nawet w Redfern, kiedyś ich dzielnic, stanowią tylko 2,5 proc. populacji. Mieszkają głównie na jej obrzeżach, w tzw. The Block – zespole mieszkań komunalnych, które dla autochtonów wykupiła organizacja Aboriginal Housing Company. Lokalna aborygeńska wspólnota stara się kultywować swoje tradycje, organizować wydarzenia kulturalne i po prostu nie zniknąć – skoro trwają w Australii od ponad 40 tysięcy lat i mają bogatą kulturę duchową.

Siedzę w autobusie pośród nich. Bardzo szybko udziela mi się radość i śpiewam razem z nimi. Razem poruszamy się w rytm muzyki. Przednia, „biała” część autobusu udaje, że nic nie widzi. Hałaśliwi Aborygeni na pewno zakłócili im niedzielne popołudnie. Ale oni są u siebie. Wielcy, ciepły, uśmiechnięci. Prawowici mieszkańcy czerwonej, australijskiej ziemi. ○

DZIOBAK JAK ZE SNU

Fragment muralu w aborygeńskiej dzielnicy Redfern. Ścieżki Snów to aborygeńskie malowidła, będące wyrazem duchowego rozwoju.



FOT. ANNA DUBKOWSKA

Prezenty do prenumeraty

przewodniki Pascal



książki pod patronatem Poznaj Świat



kijki
do trekkingu i nordic walkingu



okulary na rower i do trekkingu



koszulki podróżnika



Zamów
prenumeratę
już od 109 zł



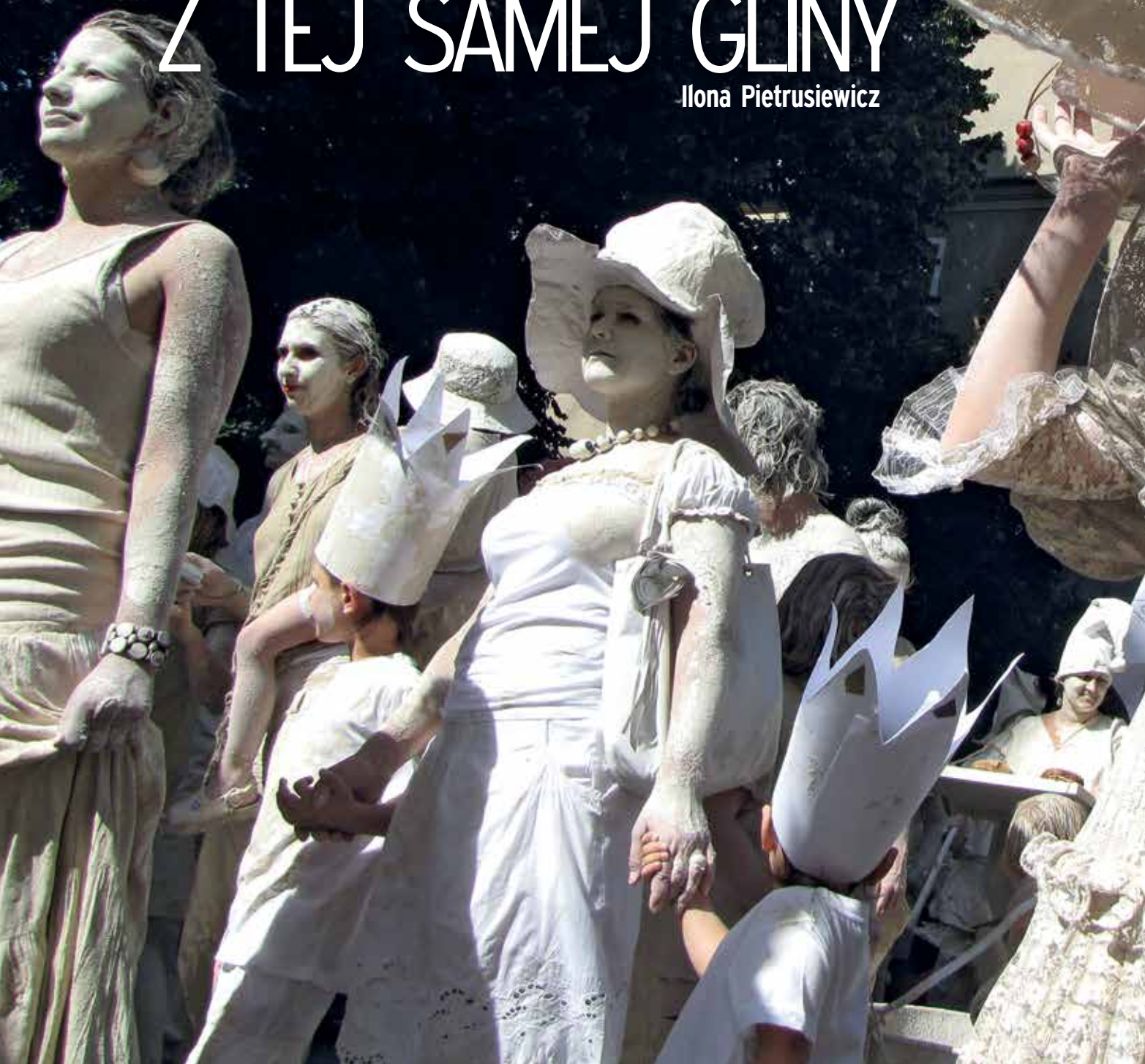
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Telefonicznie: +48 (58)3508464, e-mail: prenumerata@poznaj-swiat.pl
SMS: 535444980, treść: imię i nazwisko + adres, Przelew: BRE BANK SA 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004,
w tytule pełne dane adresowe + okres prenumeraty, Listownie: 80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17

EUROPA | Polska

WSZYSZY Z TEJ SAMEJ GLINY

Ilona Pietrusiewicz





Jesteśmy w Miasteczku Glinoludów. Patrzę z niedowierzaniem na żywe posągi. Trudno nie być pod wrażeniem. Gliniane twarze, włosy, skóra i ubrania, okulary, wachlarze, torebki i parasolki, misie przytulanki i bukiety kwiatów... Szaleństwo!

Rusza parada. Kilkaset osób w najróżniejszych przebraniach. Księżniczki w balowych sukniach, szczudlarze, damy w strojach jak z Wersalu, połyskacze ognia, smerfy, bębniarze z dredami, krasnoludki, Pippi Langstrumpf, Temida z wagą, rycerze, wiedźmy i czarodzieje. Do tego przedziwne wehikuły napędzane siłą ludzkich mięśni. Korowód niezwykłości, rewia fantazji i eksplozja sztuki. I wszyscy od stóp do głów pokryci gliną.

TECHNIKA OBGLINIANIA

– *Wygląda jakby kamień!* – jeden z przedszkolaków próbuje znaleźć słowa, żeby opisać glinoluda. Inne dzieci dodają wyraźnie zafascynowane: – *Glinoludy są całe szare!* albo – *Oni są człowiekami i się malują gliną!*

Przed nami na niewielkim placu krząta się mrowie niecodziennych postaci, pochłoniętych ostatnimi przygotowaniami. Wszyscy przypominają ruchome figurki z białej porcelany. Niektórzy kompletują wyszukane kreacje, korzystając z obszernej garderoby, w której znaleźć można peruki i wszelkie niezbędne rekwizyty. Inni przybyli tu już w pełnym rynsztunku. Dalsze losy jednych i drugich są jednakowe – wszyscy, wraz ze swoimi strojami, znikają w całości pod warstwą płynnej masy ceramicznej, przypominającej jasną, bardzo gęstą farbę.

Jedni są zwolennikami nakładania gliny pędzłami, drudzy preferują spryskiwanie, inni – pole-

FOT. LONA PAPIEŚNICA

FOT. LONA PETRUSEWICZ



wanie, a pozostali – zanurzanie się w specjalnie przygotowanych basenach. Tendencja jest zazwyczaj taka, że im młodszy glinolud, tym radykalniejsze metody „obgliniania”. Dzieciaki o choczko taplają się w płynnej masie, z zapalem wlażą do wypełnionych nią beczek i polewają się nawzajem wiadrami. Wkrótce wszyscy – mieszkańcy Bolesławca oraz turyści, Polacy i cudzoziemcy, kilkuletnie dzieci i staruszkowie – wszyscy zostają doszczętnie pokryci gliną i ujednoliconi kolorystycznie. Wtedy motto i przesłanie całego przedsięwzięcia staje się namacalne: „Wszyscy jesteśmy z tej samej gliny!”

Gdy masa wysycha – twardnieje i staje się niemal biała. Jeszcze ostatnie poprawki, maki-jaż, charakteryzacja, stylizacja i... parada rusza.



TAK CZY OWAK, ZAWSZE GLINOWAK

Na przedzie korowodu sunie wielki biały „Nowakmobile”. Auto wiezie na dachu, rozpoznawalnego z daleka po charakterystycznym cylindrze, twórcę idei Gliniady – Bogdana Nowaka. Wijący się za nim długi, jednokolorowy wąż z ludzkich ciał przemierza ulice Bolesławca. W pochodzie przebierańców maszerują całe rodziny. Rodzice w pokrytych gliną wózkach wiozą pokryte gliną dzieci, a towarzyszą im pokryte gliną psy. Z każdym rokiem chętnych do wzięcia udziału w paradzie jest coraz więcej.

– *To zakaźne jak cholera* – żartuje Nowak, pomysłodawca imprezy, aktor i bolesławianin. Część życia spędził we Francji, gdzie najpierw

uczęszczał do szkoły legendarnego mima, Marcela Marceau, a potem przez kilkanaście lat był jego asystentem. Właśnie tam w 1980 roku idea glinoluda została po raz pierwszy wykorzystana w teatrze. Nowak wspomina: – *Ala z przyjaciółką kupiły pewnego dnia glinę do robienia maseczek. Wymalowały się nią od stóp do głów. Pomysł mi się spodobał i użyłem go w jednej z etiud w szkole. Zrobił furorę.*

Koncept Parady Glinoludów doskonale wpisał się w charakter regionu. Wizytówką Bolesławca jest przecież ceramika, a płynna masa ceramiczna to rodzimy surowiec do produkcji naczyń. Okoliczne złoża glinki wykorzystywano tutaj już w czasach prehistorycznych. Od XVII w. miasto było liczącym się ośrodkiem

UBIERALNIA, OBLINIALNIA I SUSZARNIA

Po dobraniu rekwizytów, przebraniu się i „obglinieniu” następuje etap suszenia w promieniach słońca.

garncarstwa. Toczono tu dzbany, misy i kufle do piwa, a także wielkie gliniane naczynia do ozdabiania bram i balkonów. Do historii przeszedł Wielki Garniec, wykonany w 1753 roku przez Johanna Gottlieba Joppego. Był to wówczas największy gliniany garniec na świecie – miał ponad 2 metry wysokości, niemal 4 metry obwodu, a pojemność prawie 2 tysiące litrów. Ważył 600 kilogramów. Aż do roku 1945, kiedy ślad po nim zaginął, był symbolem miasta.

Według zamysłu twórców parady wykreowany za jej pomocą glinolud nie tylko nawiązuje do odwiecznych tradycji miasta i regionu, ale jest też archetypem rodzaju ludzkiego. Obrzędy malowania ciała – błotem, gliną, węglem, henną, ochrą – od pradawnych czasów były i do dziś pozostają istotnym aspektem wielu kultur i cywilizacji. Ozdabiając ciało, chronimy je, uświęcamy ważne momenty życia, ale też umożliwiamy mu metamorfozę. Gliniada do tego nawiązuje, stwarzając uczestnikom możliwość ekspresji i przeobrażania się w postaci z własnych snów i marzeń.

NIECH NAM ŻYJE GLINOPARA!

Pierwsza Gliniada, czyli Parada z Miłości do Gliny, odbyła się w Bolesławcu w 2007 roku. Okazała się doskonałym pomysłem na promocję miasta. Glinoludy zdobyły tytuł najlepszego promotora turystyki regionalnej na Dolnym Śląsku, zrobiły furorę



FOT. LONA PETRUSEWICZ

na Przystanku Woodstock oraz podczas Karnawału Kultur w Berlinie. Wzięły też udział w Paradzie Konstytucji 3 Maja w Chicago, a w ubiegłym roku reprezentowały Polskę podczas święta „Tag der Sachsen” we Freibergu. Od 2013 roku oficjalny patronat nad Gliniadą obejmuje radiowa „Trójka”



FOT. LONA PETRUSEWICZ



FOT. LONA PETRUSEWICZ

GLIŃOŚWIĘTO

W corocznej paradzie ulicami Bolesławca maszeruje kilkaset pokrytych ceramiczną masą osób: ubranych, przebranych, rozebranych...

W jednobarwnym korowodzie paradygają gibcy akrobaci i dystyngowani starsi panowie, cyrkowi błazen oraz Temida z wagą i mieczem.



FOT. LONA PETRUSEWICZ

FOT. LONA PETRUSEWICZ

GLINOWERSAL

Suknie balowe, peruki, wachlarze, parasolki, trzewiki – dzięki wypożyczalni rekwizytów bez trudu można przyjąć konwencję dworską sprzed stuleci.

FOT. LONA PETRUSEWICZ

FOT. LONA PETRUSEWICZ

– w tym roku specjalna „wyjazdowa” audycja Listy Przebojów Programu Trzeciego została prawdopodobnie nadana właśnie z Miasteczka Glinoludów.

Jedną z tradycji Gliniady stały się... służby glinoludów, udzielane na bolesławieckim rynku przez samego prezydenta miasta. Pierwszy z nich odbył się w 2008 roku. Młoda para została wniesiona na rynek w lektyce, której towarzyszył orszak dwudziestu glinoludów. Dwa lata później w związek małżeński wstąpiły jednocześnie dwie glinopary. Zaraz po tym, jak wypowiedziały sakramentalne „tak”, nad rynkiem przeleciał helikopter w czerwone serduszka, z którego na nowożeńców posypały się cukierki.

Gliniadę można zobaczyć w Bolesławcu co roku, w przedostatni weekend sierpnia, w ramach trwającego kilka dni Bolesławieckiego Święta Ceramiki. Odbędzie się ono już po raz dziewiętnasty. Na rynku organizowane są m.in. targi ceramiczne, gromadzące stu wystawców, zarówno z samego Bolesławca, jak i z zagranicy.

Bogactwem polskiej stolicy ceramiki jest słynna kamionka pokryta wzorami, nanoszonymi ręcznie metodą stempelkową. Charakterystyczne granatowe dekoracje zdobią talerze, wazy, salaterki, solniczki, czajniki, filiżanki, świeczniki, a nawet pisanki i korki do butelek. Co ciekawe, bolesławiecka ceramika jest nie tylko efektowna, ale i praktyczna – naczynia można myć w zmywarkach, a także eksploatować w piekarnikach i kuchenkach mikrofalowych.

W Święto Ceramiki powstaje też Miasteczko Animacji Ceramicznych. Buduje się wówczas i rozpala tradycyjny wielki piec. W programie są m.in. warsztaty, pokazy i nauka toczenia na kołach garncarskich, malowanie i stempelkowanie biskwitów, lepienie z gliny, tworzenie ceramicznej biżuterii, a nawet... tłuczenie naczyń. Jest też mnóstwo atrakcji towarzyszących, np.: instalacje artystyczne, giełdy staroci, warsztaty kuglarskie i szczudlarskie, pokazy filmowe i teatralne, koncerty, tańce z ogniem i pokazy gigantycznych baniek mydlanych.

Świętowanie kończy się w niedzielę o północy pokazem sztucznych ogni zatytułowanym: „Ogniste stempelki na niebie”. ◉



breakfast

terrex fast r

Podeszwa TRAXION™ z mieszanką gumy CONTINENTAL®
zapewnia doskonałą przyczepność.
Docierasz szybciej na zasłużony odpoczynek.

adidas.com/outdoor



© 2013 adidas AG. adidas, the 3-Stripes logo and the 3-Stripes mark are registered trademarks of

Alexander i Thomas Huber, Mario Walder | team free ascent "Bavarian Direct" | 5.13 | Mt. Asgard, Ziemia Baffina | timeline production



Wtarabanili mi się na kolację Gruzin i Ormianin. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że ich nie zapraszałem.



KAUKAZ ROBI NAJAZD



FYS. MARTYNA BULBA

Bardzo to przeżyłem, więc Państwo zrozumieją, jeśli przyznam szczerze, że gdzieś już to we fragmentach opisywałem. Ale sami Państwo wiedzą – zdarzyło się to niedawno, wciąż jestem pod wrażeniem, a sytuacja mocno krępująca. Miałem spotkać się służbowo z facetem, niby miły, ale znałem go tylko przez telefon, a on ni z tego, ni z owego dzwoni o 20.00, informując, że szczęśliwie przyjechał do Warszawy, przekładał spotkania i ma czas do rana. Do rana, powiedział. Aha. I dorzucił: – Będziemy za pięć minut. U mnie w domu!

Zaraz, zaraz, jacy my?! Rany boskie, przecież ja miałem jeszcze pracować! Nie, no wino w domu zawsze się znajdzie, tu wstydu nie będzie, ale to przecież Ormianin! Do głowy przychodzą najczarniejsze

myśli, włącznie z opinią Woody'ego Allena, iż najlepszym sposobem na popełnienie samobójstwa jest wystawić się na oddech Ormianina. Czy taką anegdotą można rozpocząć kolację? Co ja gadam, jaką kolację?! W pięć minut?!

Do żony mej biegnę z błaganiami o pomoc, supliką o ratunek. Dzielna zazwyczaj niewiasta pobladła. I ja ją rozumieję, bo z równym powodzeniem mógłbym do niej apelować, by powstrzymała grawitację, nadchodzące pory roku, spadek Platformy w sondażach, by nieważniła traktat lizboński i rachunek różniczkowy – słowem, nie da rady. Mission impossible i załatwione odmownie, panie Cruise.

A to dlatego, że w lodówce pustki, bo ja udaję, że się odchudzam, więc wyzeram wyłącznie czekoladę z zapasów

dzieci, z sukcesami – muszę przyznać. Małżonka się nałogowo sportuje, więc nie je. Słowem, masakra. – Może zrobię coś z bakłażana? – spytała i wtedy mnie trzeba było cucić.

Kobieto! Z bakłażana?! Czy ty w ogóle siebie słyszysz?! Pieczony baran raz i prosię w kaszy gryczanej dwa – to z dań lekkostrawnych, ale przecież jest wieczór, lato, nie możemy się objadać, jakoś się tym obronimy. Ale to już, natychmiast, inaczej jesteśmy zgubieni! Kaukaz, kobieto, to świat, gdzie nieco inaczej pojmujemy się gościnność – wpadasz do sąsiada pożyczyć zapałki, wracasz po trzech dniach, owszem, całkowicie pijany, ale za to jego samochodem. Dał w prezencie.

Mnie ledwo poznani na dworcu dwaj Ormianie wywieźli na wieś, do kuchni.

Tu drobna uwaga, krótka pogawędka z nimi upewniła mnie, iż są oni blisko spokrewnieni z całą ludnością Armenii i mniej więcej połową ormiańskiej emigracji. I absolutnie nie powinienem się temu dziwić.

Zresztą, kombinowałem, co mi szkodzi, to blisko, więc na wieczór pewnie wrócimy do miasta, może jeszcze na jakieś piwo wyskoczę. Sześć dni – kobieto – balowałem! I baran był pieczony, i proszę, i cała wieś sproszona. Pytali tylko, czy aby na pewno wiza mi się kończy (coś trzeba było zmyślić), bo właśnie we wsi obok, po sąsiedzku, miejscowy bogacz córkę za mąż wydaje. Pięknie by się nasze sioło z cudzoziemcem zaprezentowało, oj pięknie. Nikt tak państwa młodych by nie uhonorował... To jak? Raz, dwa i kończymy – trzy dni imprezy. W końcu nie musisz być na całym weselu.

A my co, przepraszam ja ciebie, sałatka i bakłażan?! Może od razu wyrzucimy imigranta za drzwi, tak? Polska dla Polaków – powiedzmy, ze schodów zrzucimy, yorkiem sąsiadów poszczujemy. Bakłażan to obelga dla dumy jego narodowej, dla jego męskości. W twarz mu napluj, a złożymy to na karb naszych narodowych zwyczajów, ale bakłażana nie dawaj!

Nie, no owszem, oni bakłażany też jedzą, i to w różnych postaciach, ale to tak, jakbyś kuzynowi z warmińskiego lasu zaproponowała kiszzonego ogórka. Ogórek – powie mój kuzyn, z zawodu zdaje się leśniczy, ale doprawdy trudno orzec – godziwą jest zagrychę, ale gdzie kotlet i popitka? Kuzyn z resztą kuzynostwa opanowali warmińskie lasy i moim zdaniem łupią w nich podróznym na traktach, ale oni zapewniają, że to nadleśnictwo czy coś takiego. W każdym razie sporo chłopaki trenują i ogórek jest tam istotnie w ciągłym użyciu,

Bakłaż... Dzwonek do drzwi. Ten drugi to Gruzin. Jeszcze lepiej. Mogliście mi tego oszczędzić. Mdleję. Oprzytomniałem po trzech kwadransach. Żona mojej osoby zastawiła stół wiktuałami, jakby jedzenie od sąsiadów pożyczyla, czego zresztą wykluczyć nie można, choć sąsiedzi zajmują się głównie hurtowym

wypalaniem papierosów i puszczeniem dymu w naszą stronę. Z sympatii. Dość powiedzieć, że najmilszy z nich pali więcej niż ludność Kolumbii. Ale faktycznie, nie poprawia kokainą.

W każdym razie, jeśli mnie moje lewdo odemknięte oko nie myli, to żona mojej osoby – niech nad jej urodą

I jeszcze dowcipy opowiadali, naprawdę śmieszne, żadnego nie pamiętam. Mało Wam, to jeszcze powiem, że wina przynieśli swoje, i to dużo, i to dobre. Owszem, za kołnierz nie wylewali, ale ostatecznie i tak więcej przynieśli, niż na miejscu poszło. A kilka poszło. No, dobra, dobra, wyszli o północy, ja rozu-



Wojciech Orliński zaprasza na fascynujące spacerzy śladami bohaterów i autora trylogii *Millennium*.

Dlaczego Larsson i Papcio Chmiel mogliby sobie podać ręce?

Co łączy Larssona, Salander i ajatollaha Chomeiniego?

Dla której restauracji Larsson nagiął logikę swoich powieści?

Pascal

i przymiotami nigdy nie zachodzi słońce – biesiaduje w najlepsze z kaukaskimi góralami, z ich żartów się zaśmiewa, ci zachwyceni. Raczą ją klechdami kaukaskimi, opowieściami, że z Krakowa do Warszawy autem to naprawdę nie jest daleko, w trzy godziny obrócić można. Rany boskie, wolę sobie nie wyobrażać, ale jakoś tak im z oczu patrzyło, że bez trudu uwierzyłem.

miem, był środek tygodnia, ale stanowczo za wcześnie. Stanowczo. Ogarnęły nas wyrzuty sumienia, że nie zatrzymaliśmy ich siłą. Było kapitalnie, trzymaliśmy się za brzuchy ze śmiechu, więc nikt nie zauważył braku bakłażana.

I jak ja miałbym po takich doświadczeniach sympatyzować z ruchem narodowym? ○



Krzysztof Struczyński

NA CZWORAKACH PRZEZ DZUNGLE SUMATRY

ZAGUBIENI POŚRÓD GÓR

Uliczka w położonej na skraju dżungli wsi Kedah. Odizolowana przez góry osada leży na terenach zamieszkałych przez lud Gayo.



Wysiadam z zatłoczonego busa w miasteczku Blangkejeran. W moim przewodniku informacje na temat tej miejscowości sprowadzają się do wskazówek, gdzie udać się dalej.

Kierowca wypytuje przechodniów o dalszy transport dla egzotycznego pasażera, a niedawni współpasażerowie wychylają się przez okna i krzyczą coś po indonezyjsku. Jako że nie mówią „dzień dobry” ani „smacznego”, rozumiem niewiele. Wskazują na chłopaka na motorze, który ciągnie mnie za rękaw. Z potoku słów dociera do mnie tylko jedno nazwisko: Mr Jali. Człowiek, którego muszę odnaleźć.

CO POWIE MR JALI

Blangkejeran było przystankiem w drodze do celu, który obrałem sobie jeszcze w Polsce. Zamysł był prosty: zdobyć nietypowy szczyt,

w miejscu, do którego nie dotarła turystyka zorganizowana. Jednym z niewielu spełniających kryteria okazał się teren Narodowego Parku Góry Leuser, w prowincji Aceh na północy Sumatry. Zamieszkuje go menażeria rodem z Arki Noego, obok siebie żyją tygrysy, słonie, nosorożce, orangutany...

Mój cel stanowić miała Góra Leuser (3404 m n.p.m.), skryta głęboko w dżungli, niedostępna. Dodatkowej pikanterii nadał temu fakt, że na szczycie nie stanął dotąd żaden Polak (jedyna polska ekspedycja, poprowadzona w 2010 r., była zmuszona zawrócić ze względu na złe warunki pogodowe).

Kluczem do realizacji zamierzeń był Mr Jali: człowiek instytucja. Jeden z pięciu ludzi



FOT. KRZYSZTOF STRUCZYŃSKI



FOT. KRZYSZTOF STRUCZYŃSKI

na wyspie znający sekret ścieżek wiodących przez dżunglę. Bez jego wiedzy i akceptacji żadna wyprawa nie wyruszy.

W końcu dojeżdżamy do niepozornej chatki w wiosce Kedah. W środku ciemno, drogę wskazuje smuga tytoniowego dymu. W dużym pokoju na dywanie siedzi kilku mężczyzn w arabskich strojach. Przed nimi małe filiżanki z kawą. Bez słowa robią miejsce w kręgu i kiwają, abym się przysiadł. Po chwili również przede mną pojawia się napój, papierosów grzecznie odmawiam. Jeden z mężczyzn zagaduje łamanym angielskim – to poszukiwany przeze mnie Mr Jali. Pyta, skąd jestem.

– *Saya dari Polandia* – odpowiadam. W końcu pada pytanie o powód mojej wizyty. Mówię lekko speszony, starając się utrzymać pewność w głosie: – *Gunung Leuser*. Zadumane skinienie głową. Pytają, czy chcą zatrzymać się w domkach na skraju lasu deszczowego, stanowiących bazę startową dla wszystkich ekspedycji.

Po chwili wychodzę z Danielem – jedyną poza Mr Jalim osobą umiejącą porozumieć się po angielsku. W obozie poruszam temat organizacji wyprawy. Dowiaduję się, że nikt obcy dotąd nie szedł tam w pojedynkę. W moim wypadku decydującą kwestią są koszty. Wyruszyć musi co najmniej trzech przewodników. Opłacenie ich spoczywa jedynie na moich barkach. Rozpoczynamy żmudne targi. Daniel chciałby, żeby rzecz doszła do skutku, ale nie jest pewien opinii Mr Jaliego. Ostateczną decyzję odkłada do jutra. Tymczasem bierze do ręki gitarę i w blasku lekko już przygasającego ogniska zaczyna grać jakże znajome w tej odległej krainie „No woman, no cry”.

Przy śniadaniu oczekuję na werdykt. Za stołem zasiada Mr Jali, Daniel i dwóch nieznanymi mi ludzi. Zwiększająca napięcie chwila milczenia... I Mr Jali zgadza się na moją propozycję! Wyruszymy w czwórkę: ja, Daniel, Isa i Keder. Isa wygląda na najstarszego.

DESANT W DESZCZU

Obładowani ekwipunkiem członkowie wojskowej jednostki specjalnej wyłonili się z lasu deszczowego jak zjawy.

PŁYNIE ALAS PRZEZ LAS

Uspokojona po ulewach
rzeka Alas dała
możliwość przepierki
„krytycznych” części
garderoby.

Chudy jak tyka, wysoki, z ogorzałą cerą. Surową minę łagodni wyzierający spoza licznych zmarszczek uśmiech psotnika. Jest najbardziej doświadczoną osobą w drużynie. Keder, także uśmiechnięty, wygląda na prawdziwego twarziela. Daniela już znam, jest nieco cięższy od pozostałych, ale sprawny i wytrzymały. Ustalamy, że rozpoczęty już dzień poświęcimy na zakup żywności i brakującego sprzętu. Przygodę zaczynamy rankiem następnego dnia.

O tym, jak niewiele brakowało, aby wyprawa nie doszła do skutku, dowiedziałem się już po fakcie. Daniel i Keder zrzekli się wynagrodzenia, aby mogło dojść do ekspedycji.

W TOALECIE ORANGUTANÓW

Nadeszła wielka chwila: wyruszamy. Każdy z 20-kilogramowym plecakiem. Przyjmujemy, że czas wyprawy nie przekroczy 20 dni, jednak zła pogoda może go wydłużyć. Odległość jest trudna do oszacowania, nie ona jest zresztą najważniejsza. Wyzwaniem będzie zdradliwy teren. W razie wypadku możliwość pomocy z zewnątrz jest znikoma. Zabieramy zapas żywności, spać będziemy w jednym namiocie.

Szlak zaczyna się tuż przy bazie. Od samego początku jest ostro pod górkę. Staram się ostrożnie stąpać pomiędzy wielkimi paprociami i innymi nieznanymi mi roślinami. Wyobraźnia ukazuje przyczajonego pod każdą gałązką węża. O zagrożeniach nasłuchałem się już dość. Także o tujejszych drapieżnikach, niewątpliwie tylko czyhających na smakowitą, dobrze odżywioną ofiarę z Europy.

Mimo pewnych wcześniejszych doświadczeń, jedno się nie zmienia – dżungla oszałamia, zawsze. Otaczają nas gigantyczne drzewa, wszędzie pełno lian i porostów. Wysokie krzaki, niskie krzaki, szal zieleni. Bez przerwy coś zaczepia o plecak czy koszulę. Wśród drzew słychać pohukiwanie małp. Większości odgłosów nie jestem w stanie zidentyfikować, jed-

nak tło dźwiękowe, które tworzą, jest dla mnie niczym wspaniała muzyka. Hej ho, do przodu drużyno!

W pewnej chwili Isa mówi, że czuje zapach orangutanów. A dokładniej – ich toalety. Odchody i mocz tych zwierząt mają podobno bardzo intensywną i łatwą do rozpoznania

ZMORDOWANI

Isa i Keder podczas krótkiego wypoczynku w trakcie morderczego marszu.



FOT. KRZYSZTOF STRACZYŃSKI

woń. Ja czuję tylko wielki zapachowy miks: butwiejących liści, świeżych liści, wilgotnej ziemi... Może to i lepiej. Tymczasem samych orangutanów brak. Na małpie nawoływania Isy nikt nie odpowiada i idziemy dalej.

Wychodzimy spomiędzy drzew. Przed nami rozciąga się kawałek wykarczowanego terenu, z widokiem na leżące u podnóża gór



ŚNIADANIE NA TRAWIE

Kolejny poranek w drodze na szczyt. Szybkie śniadanie i pospieszne przygotowania do wymarszu.

wsie. Dotarliśmy do Tobacco Hut. To ostatni przyczółek cywilizacji, słynny z tytoniowej uprawy, od której wzięła się jego nazwa.

CZASEM BŁOTO, CZASEM DESZCZ

Następnego dnia wstajemy ze słońcem. Wyszło pięknie i zadowolone z występu, więcej się nie pokazało. Krajobraz zmienia się całkowicie. Wysokie drzewa zastępuje znacznie niższy, lecz gęstszy „mchowy las”. Każda gałąź zwiększa średnicę dziesięciokrotnie, obrośnięta grubą, puchową masą. Gleba jest niesamowicie sprężysta, postawiony krok powoduje jej ugięcie na pół łokcia. Jest to pomocne, kiedy czołgamy się pod licznymi zwalonymi drzewami. Twarz w błoto i do przodu. Szlak stanowi tunel z roślinności. Ciężkie wilgotne powietrze i wysoka temperatura powodują, że męczą się bardzo szybko.

Po kilku godzinach dochodzimy do szczytu i dalej maszerujemy granią. Teraz z kolei robi się chłodniej – tak źle i tak niedobrze. Niedogodności rekompensują widoki. Pod nami rozpościera się przestrzeń parującej dżungli. Porośnięte nią góry ciągną się po horyzont. Idziemy stromym grzbietem, z lewej i prawej są przepaści. Pogoda się psuje. W strugach deszczu wdrapujemy się na najwyższy przed górą Leuser szczyt – Puncak Angkosan (2891 m n.p.m.). Szybko rozbijamy obóz i zmęczeni idziemy spać.

Budzę się, słysząc uporczywe łomotanie w sufit. Sufit? Powoli przypominam sobie, gdzie jestem. Wczorajszy deszcz przeszedł metamorfozę: od ulewy do agresywnej nawałnicy. Postanawiamy przeczekać. Jemy śniadanie i rozmawiamy. Otacza nas chmura tytoniowego dymu. Papierosy to narodowa plaga. Pałą wszyscy, od najmłodszych po najstarszych. (Wielokrotnie, kiedy wykończony wspinałem się pod górę, zastanawiałem się, jakim cudem



przewodnicy robią to samo, wciąż trzymając zapalone papierosy w ustach). Mijają godziny. Wiadomo, że tego dnia już nie wyruszymy. Taka pogoda o tej porze roku nie utrzymuje się długo – pokrępieni tą myślą zasypiamy.

Huk został zastąpiony delikatnym stukotem – nawałnica przeszła w mżawkę. Na dalszą stratę czasu nie możemy sobie pozwolić i wyruszamy w drogę. Dziś schodzimy prawie wszystko, co przez pierwsze dni weszliśmy. Potem znów wspinaczka. W górę, i w dół. W potokach błota wdrapujemy się po korzeniach drzew na niemal pionowe zbocza.

KOMANDOSI I TROP TYGRYSA

Nie tylko otaczająca nas sceneria przywodzi na myśl serię filmów o Rambo. Oślepiiony deszczem ledwo zauważam wylaniające się z gąszczu postacie w maskujących strojach. Każda z karabinem. Wytrzeszczam oczy. To grupa in-

donezyjskich komandosów, którzy w ramach treningu wdrapali się na „naszą” górę. Teraz mocno zmęczeni wracają. Nie wiem, czy mam się czuć twardzielem, czy utonąć w błocie, by zakończyć marną egzystencję i nie narażać się na widoczny na twarzach żołnierzy wysiłek. W miejscu obozu czeka nas miła niespodzianka. Ognisko pozostawione przez komandosów ciągle się tli.

A rano, dzień jak co dzień: szaro, buro i leje. Żaden z moich przyjaciół nie pamięta tak złej pogody. W butach mi chlupocze, w dodatku okazuje się, że są zdeformowane po wczorajszym suszeniu.

Słyszę przed sobą okrzyk przerażenia. Roztrzęsiony Daniel tłumaczy, że był pewien, iż chwycił węża. Pokazuje przy tym wyjątkowo sugestywnie wyglądającą roślinę. Jak widać, wszyscy jesteśmy zmęczeni. A gadów tu dostatek. Pomijając kobry królewskie, kobry czarne i pytony, do dyspozycji jest też cała masa drobnicy, takiej jak niemrawiec pospolity, upośledzający układ oddechowy, czy już całkiem prostacki grzechotnik. Pocięzeni myślą, że nic straconego, maszerujemy dalej.

Dochodzimy do stromego zbocza otwierającego widok na gigantyczną kotlinę. Po przeciwnej stronie widać spływające ze skalnej ściany wysokie wodospady. Nawet tu, mimo odległości i odgłosów deszczu, słyszymy ich grzmot.

CIĄGLE PADA

Podczas gdy na zewnątrz leje, w namiocie kwitnie życie towarzyskie. Isa z nieodłącznym papierosem w ręku opowiada przeżyte w dżungli historie z dzieciństwa.

Rano... nie pada! Poruszamy się po otwartym terenie, wszystko idzie znacznie szybciej. Oczy cieszą wyrastające tu i ówdzie storczyki i kolorowe, fantazyjnie powyginane krzaki. Wkrótce dochodzimy do rzeki Alas. Wzbudzona po ostatnich ulewach prezentuje się przerażająco: brudna, spieniona toń porywa ze sobą



JUNGLE SUSHI

Prysmak z Sumatry w wykonaniu Isy, czyli ryż zapieczony w kwiatkach dzbanecznika.

wyruszają wzdłuż strumienia i w końcu znajdują przejście, w którym woda w najgłębszym miejscu sięga pasa. Dzień kończy się szybko, szczyt coraz bliżej...

A przed nami idzie tygrys. Jego ślady odciśnięte w świeżym błocie przez kilka godzin pojawiają się i znikają. Ciekawość walczy u mnie z obawą, czy nasze spotkanie aby na pewno przebiegnie pokojowo. Niedane jest nam się o tym przekonać. Puentę historii stanowią znalezione na środku ścieżki odchody



CHWILA TRIUMFU

Uczestnicy wyprawy na obelisku ustawionym na Gunung Leuser.

wszystko, co stanie na jej drodze. Stoimy przy brodzie, gdzie w normalnych warunkach woda sięga kostek. Teraz jest po szyć. Czyżby w końcu deszcz nas pokonał? Isa i Keder

– godna odpowiedź dla intruzów nawiedzających terytorium króla dżungli.

ZWYCIĘSTWO NA MIĘKKICH NOGACH

W końcu nadchodzi wielki dzień: dziś planujemy zdobyć szczyt. Radość przyćmiewa biegunka, która męczy mnie od samego rana. Idziemy trawiastą równiną, by po chwili rozpocząć podejście. Z góry spływa wiele strumyczków z krystalicznie czystą wodą. Według wierzeń tubylców ma ona uzdrawiające właściwości. Isa nabiera kilka butelek. Mówi, że odda je rodzinom, w których dzieci pilnie czytają Koran. Jak wielu ludzi w Aceh, jest gorliwym muzułmaninem (to jedyna prowincja w Indonezji, gdzie obowiązuje prawo koraniczne).

Maszerujemy dalej. Całkowicie wykończony i odwodniony, skupiam się na tym, by po jednym drobnym kroku postawić następną.

Raz za razem... i jeszcze raz. W końcu, potykając się, staję na szczycie. Chwilę później jesteśmy tam wszyscy. Pod nami pole chmur, nad nami błękitne niebo. Opieram się o wybudowany tu obelisk. Tuż obok metalowe resztki pieca po pierwszej, holenderskiej ekspedycji (nazwa góry pochodzi od nazwiska kronikarza tamtej wyprawy).

w oddali, na horyzoncie, majaczy ocean. Wielka, tętniąca życiem kraina. Tak pełna i pusta zarazem – bo brak w niej ludzi. Próżno szukać wielu takich miejsc na świecie.

Rozpoczynamy mozolny powrót. Palącego słońca nie przykrywa ani jedna chmurka. Biegniemy, aby schronić się wśród drzew porastających niższe obszary. Dwunastego dnia, po



Kiedy opada adrenalina, uchodzą ze mnie resztki sił. Padam w rozstawionym naprędcie namiocie, by zaraz wstrząsany torsjami wybiec na zewnątrz. Nie znając przyczyny choroby, praktycznie losuję antybiotyki z apteczki. Leżę w namiocie powalony niemocą, zamiast cieszyć się sukcesem i napawać widokami. Nie mogę jeść, nie mogę pić. Powoli wszystko się rozplywa...

Następnego dnia budzę się osłabiony, ale czuję się lepiej. Wita mnie słońce i przepiękny widok ze szczytu. Zamglona dżungla w dole, a

raz pierwszy od rozpoczęcia wyprawy, możliwa jest kąpiel. Jesteśmy nad groźną jeszcze niedawno rzeką Alas, która zdążyła już wrócić do pierwotnego, spokojnego stanu. Wieczorem Isa robi „jungle sushi” – ryż gotowany nad ogniskiem w kwiatkach dzbanecznika.

Czternastego dnia mijamy w pędzie Tobacco Hut i około godziny trzynastej docieramy do Kedah. Do bazy, z której dwa tygodnie temu wyruszyliśmy. Oczy się szklą. Ulga przemieszana ze smutkiem, że wyprawa dobiegła końca. ○

MORZE... CHMUR

Upragniony widok ze szczytu Gunung Leuser.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

NASZE PATRONATY

BIEGIEM PRZEZ TATRY



17 sierpnia rozpocznie się „Bieg granią Tatr”. Trasa poprowadzi z Siwej Polany w Dolinie Chochołowskiej przez Rakorń, Wołowiec do Hali Ornak, Czerwone Wierchy, Kasprowy, Hala Gąsienicową, Krzyżne, Dolinę Pięciu Stawów, Polanę Waksmundzką, Nosalową Przełęcz aż do mety w Kuźnicach: 70 km i 5000 m podbiegów. Limit na przebiegnięcie trasy wynosi 17 h, a w zawodach mogą wystartować tylko osoby, które przebiegły bieg górski na minimalnym dystansie 25 km lub bieg na orientację (także w górach) 40 km. Zawody odbędą się przy współpracy z Tatrzańskim Ochotniczym Pogotowiem Ratunkowym.

www.graniatatr.pl

Wrześniowe Morawy rowerem

Czeskie Południowe Morawy, czyli Jižní Moravy, to kraina winem płynąca. Wino z Moraw, u nas mało znane, najlepiej smakuje wprost z beczki, serwowane wieczorem przez gospodarza w jednym z winnych hoteli. Aby lepiej poznać tę krainę, warto wybrać się na wycieczkę rowerową – cały region oplata 1200 kilometrów tras, zwanych Morawskimi Ścieżkami Winnymi. Na 6-dniową rowerową podróż „W poszukiwaniu ducha południowo-morawskich win...” zaprasza we wrześniu Biuro Rowerzysty-Podróżnik. Wtedy Morawy są najpiękniejsze i można skosztować słynnego młodego wina zwanego Burčák.

www.rowerzysta-podroznik.pl





FOT. MAREK MASIAK



ONE TEMU WINNE

Wciągu trzech tygodni Grażyna Kozłowska i Barbara Laskowska chcą przejechać 8000 km przez Polskę, Ukrainę, Rosję i Gruzję. Ich plan od początku był jasny – dwie kobiety na motocyklach, pochłaniające kilometry gruzińskich bezdroży. Zapewne z mężczyznami byłoby łatwiej, ale one nie chcą iść na łatwiznę. I zapewne w momentach słabości nieraz usłyszają – same jesteście sobie winne. Gruzja też jest winna – dziewczyny kilka dni spędzą w słynnej z upraw winorośli i produkcji wina Kachetii. Chcą dowiedzieć się jak najwięcej o tradycyjnych gruzińskich me-



FOT. MAREK MASIAK

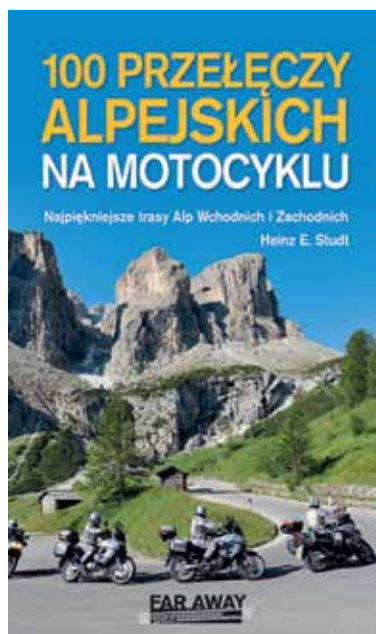
todach produkowania wina, degustować je oraz zbierać winogrona razem z lokalnymi pracownikami. Wyprawa rozpocznie się 31 sierpnia.

www.onetemuwinne.wordpress.com
www.facebook.com/onetemuwinne

PRZEZ STO PRZEŁĘCZY

„100 przełęczy alpejskich na motocyklu” to pierwszy polskojęzyczny przewodnik motocyklowy poświęcony w całości terenom alpejskim. Stanowi on zbiór najpiękniejszych wysokogórskich tras, od obowiązkowych highlightów po mniej znane przełęcze. Przewodnik ma przejrzysty układ i zawiera dwie mapy poglądowe: Alp Wschodnich i Zachodnich oraz tabele z zestawieniem najważniejszych informacji o każdej z przełęczy. Jest w nim także sześć tras całodniowych wycieczek przez najbardziej popularne wśród motocyklistów regiony: Karyntii, Vorarlbergu, Wysokich Taurów, Dolomitów, Berneńskiego Oberlandu oraz francuskich Alp Nadmorskich.

www.wydawnictwofaraway.pl



GALA
AMBASADORÓW
WSCHODU
JANÓW PODLASKI, 30.08.2013

To wydarzenie odbędzie się 30 sierpnia w nadbużańskim pensjonacie Uroczyisko Zaborek. Jest to uroczystość zamknięta, na którą zostaną zaproszeni liderzy lokalnego samorządu, biznesu, organizacje pozarządowe oraz media. To „kurtuazyjne” spotkanie jest okazją do promocji szeroko rozumianego Wschodu Polski, jakim jest pograniczne polsko-białorusko-ukraińskie. Podczas Gali zostaną wręczone statuetki. Uświetni ją zespół Jazz Trio pod kierownictwem Jarosława Michaluka, a goście będą mieli możliwość zapoznania się z twórczością znakomitego malarza Macieja Falkiewicza i uczestnictwa w wernisażu wystawy fotograficznej „Kupcy” Grupy Twórczej Motycz.

OLYMPUS

UTRWAL CHWILĘ i wygraj podróż życia

Do 9 września trwa wakacyjny konkurs fotograficzny, w którym 3 osoby wygrają wyprawę do Nepalu pod okiem znanego fotografa i podróżnika Marcina Dobasa. Do udziału w konkursie organizatorzy zapraszają wszystkich fotografów amatorów, „lotnych” w fotografii podróżniczej, choć niekoniecznie zajmujących się nią profesjonalnie. Aby wziąć udział, należy polubić fanpage www.facebook.com/OlympusFOTOLOTNI, a następnie zgłosić zdjęcie z wa-

kacji zgodne z aktualnym motywem przewodnim.

Co tydzień jury pod przewodnictwem Marcina Dobasa oraz fani Olympus FOTOLOTNI przyznają nagrody za najlepsze zdjęcia tygodnia. Są to vouchery na jesienny plener w Bieszczadach oraz koszulki i bidony FOTOLOTNYCH. Spośród autorów zdjęć tygodnia jury wybierze trzech laureatów nagrody głównej – fotowyprawy do Nepalu. Aplikacja konkursowa, w tym zasady i regulamin konkursu, dostępna jest na fanpage’u.

www.facebook.pl/OlympusFOTOLOTNI



GITAROWE PODRÓŻE

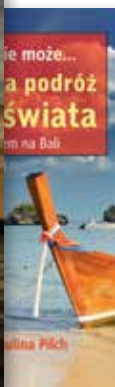
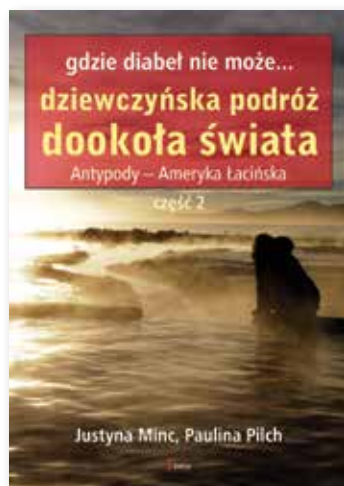


Podróże po Strunach im. Marka Długosza to jedno z najstarszych wrocławskich wydarzeń gitarowych. Jego ideą jest prezentowanie różnorodnego repertuaru z różnych kultur i epok, a także promowanie utalentowanych gitarzystów. Podczas letniej edycji cyklu odbędą się 4 koncerty: jazzowy Akiko & Marcin Olak Trio (1 sierpnia); Michała Daniela Bąka, gitarzysty klasycznego (7 września); duetu Kamila Bartnika i Bartłomieja Helwinga (8 września), wykonujące muzykę klasyczną oraz koncert prezentujący tanga Astora Piazzolli w wykonaniu Anny Pietrzak i Olka Miśkiewicza (15 września).



FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE



Pod naszym patronatem ukazała się druga część zapisu wyjątkowej podróży Justyny Minc i Pauliny Piłch. Te dwie przyjaciółki, iberystka i prawniczka, zdecydowały się zrealizować swoje marzenie o podróży dookoła świata. Rzuciły dobre prace w warszawskich firmach i w sierpniu 2010 roku wyruszyły w podróż ich życia. W 361 dni odwiedziły 27 krajów, spały w niezliczonych hostelach i schroniskach, przemierzając się

przeróżnymi środkami transportu. Książka jest zbiorem niesamowitych doświadczeń, niezwykłych wrażeń, przygód i przemyśleń autorek. Ich relacje to kopalnia wiedzy dla tych, którzy marzą o takiej podróży, a nie mają pojęcia, jak przebić się przez urzędowe przeszkody, finansowe pułapki, barierę językową i różne niebezpieczeństwa. „Dziewczyńska podróż dookoła świata cz. 2” ukazała się nakładem wydawnictwa Feeria.

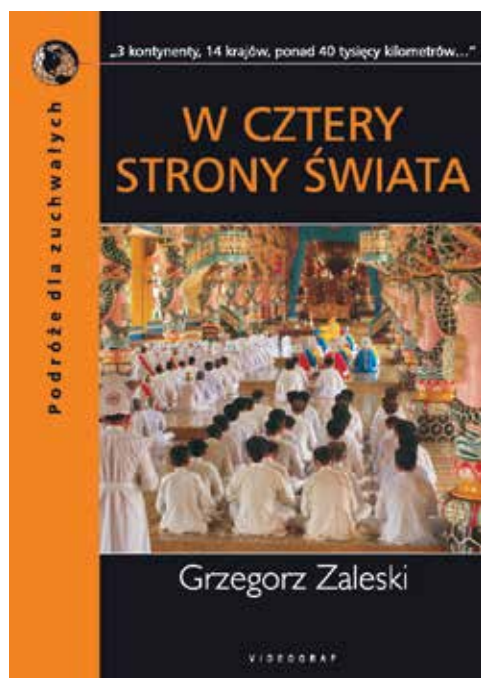
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku zaprasza do udziału w konkursie w ramach projektu Sztuka Czytania. Tematem jest właśnie biblioteka – chodzi o stworzenie galerii bibliotek z całego świata, tych zwyczajnych i tych zaskakujących. Pamiętamy autobus biblioteczny z Siekierzady, są biblioteki w pociągach, minibiblioteczki w hostelach czy schroniskach młodzieżowych, nie wspominając o bibliotekach na plaży. Oczywiście mogą to być również zdjęcia tradycyjnych bibliotek – ujęcie tematu zależy tylko od fantazji fotografa.



Konkurs trwa do 30 września. Aby wziąć w nim udział, należy wejść w zakładkę „konkurs” na profilu FB Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku www.facebook.com/BibliotekaPublicznaGdansk i wstawić zrobione przez siebie zdjęcie, a potem zachęcić znajomych do głosowania. Nagrodą jest czytnik e-booków Amazon Kindle. Partnerem medialnym konkursu jest miesięcznik *Poznaj Świat*.



GDZIE JEŹDŹĄ EASY RIDERS



Nakładem wydawnictwa Videograf ukazała się opowieść o dziesięciomiesięcznej podróży dookoła świata, jaką podjęła para narzeczonych. Nie byli wcześniej doświadczonymi podróżnikami, ale odważyli się stawić czoła przygodzie. Podczas tej niesamowitej wyprawy odwiedzili Rosję, Azję Środkową, Chiny, Półwysp Indochiński, Malezję, Indonezję, Peru, Boliwię, Paragwaj i Argentynę. Korzystali z wszelkich możliwych środków lokomocji i nocowali, gdzie tylko się dało. Po-

znawali niezwykłych ludzi, korzystając z ich gościnności i próbując nieznaną, czasem dziwaczną potrawę. Swoje fascynujące przeżycia spisywali na podręcznym komputerze i na bieżąco publikowali w portalach www.gazeta.pl i naszemiasto.pl.

Z ich relacji dowiemy się, co to jest „wódka dla duszy”, jak wygląda taniec mongolskiego szamana, kto jest dla Chińczyków prawdziwym mężczyzną, dlaczego w Tybecie córka może mieć czterech ojców i gdzie jeżdżą prawdziwi „Easy Riders”.

OLIWKOWOZŁOTA ANDALUZJA

Marcin Kołpanowicz

Dojeżdżam do
Cooperativa Santa
Teresa – Spółdzielni
Świętej Teresy,
zrzeszającej lokalnych
wytwórców oliwy.
Z Hiszpanii pochodzi
niemal połowa jej
światowej produkcji,
a z samej Andaluzji –
trzy czwarte produkcji
hiszpańskiej. Będę się
nią delectował,
jak winem.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. MARCIN KOŁPANOWICZ



CISZA AŻ WIDAĆ

W czasie sjeisty życie w Osunie zamiera, nawet koty gdzieś się pochowały...

Autostrada z Sewilli do Kordoby to prawdziwa droga kwiatów: dwie jezdnie oddzielone są nie trawnikiem, a bujnymi krzewami różowych oleandrów i czerwonych bugenwilli. Po obu stronach widać sady oliwne. Niekończące się rzędy drzewek pokrywają regularnym szrafunkiem łagodne wzgórza. W Fuentes de Andalucía opuszczam autostradę i zajeżdżam do Osuny – miasta, które na pozór wydaje się niczym specjalnym nie wyróżniać.

Na wchodzących do biura Cooperativa Santa Teresa spogląda patronka spółdzielni, św. Teresa od Dzieciątka Jezus, namalowana na *azulejos* – glazurowanych kafelkach mających w Hiszpanii wielorakie zastosowania. Na nich wypisuje się nazwy ulic i placów, maluje portrety torreadorów przed wejściem do knajp, święte obrazy na fasadach kościołów, a nawet mapy i plany miast; ceramicznymi płytkami obkłada się ściany patiiów oraz szmerzące w ich środku fontanny, wewnątrz kawiarni i restauracji oraz miejskie ławki. Płytkami *azulejos* zdobi się też przednóżki schodów i spody balkonów, wykonuje się z nich tralki i kurki na dachach. Zapomniałbym dodać, że wykłada się nimi również łazienki.

OLIWA NAJLEPSZA NA WSZYSTKO

Za chwilę będę miał okazję spróbować oliwy, czyli oleju z oliwek, po hiszpańsku – *aceite de oliva*. Maurowie nazywali ją *zeit*, Wizygoci – *alew*, Rzymianie – *oleum*, a Fenicjanie –

el'yon. (Przy okazji wymieniliśmy ludy, które zasiedlały te okolice w przeszłości i wywarły silny wpływ na kulturę i genotyp współczesnych Andaluzyjczyków). Fenickie słowo *el'yon* oznacza „najlepszy”, co dobitnie świadczy o wartości, jaką przypisywano oliwie od niepamiętnych czasów.

Oliwa jest nie tylko smaczna, niezwykle aromatyczna, ale i zdrowa – zapobiega cukrzycy i miażdżycy. Nic dziwnego, że ludy śródziemnomorskie przedkładają spożywanie oliwy nad przyjmowanie nitrogliceryny czy szprycowanie się insuliną. Starożytnym Rzymianom, którzy nad rzeką Gwadalkiwir założyli Italię (poprzedniczkę Sewilli), tak smakowała tutejsza oliwa, że wywozili ją statkami do Italii. Oliwą z winem namaszczano w dawnych wiekach rany. Była też paliwem do lampek – w przeciwieństwie do pszczelego wosku, używanego do sporządzania świec, oliwa nie dymi, nie zmienia więc oświetlanych przez długie lata pomieszczeń w czarne, zakopcone nory.

W Spółdzielni Świętej Teresy tłoczy się najlepszej jakości oliwę w ilości 4 milionów litrów rocznie. Niegdyś przechowywano ją w amforach, dziś wlewa się do wysokich na 10 metrów cystern ze stali nierdzewnej. W hali spółdzielni w Osunie cysterny ustawione symetrycznie w dwóch rzędach tworzą jakby filary oliwnej katedry (nie mylić z Katedrą Oliwską). Nic dziwnego, że znajdujące się obok pomieszczenie, w którym można próbować tego królewskiego płynu, nazywa się Sacristia (o czym informują błękitne litery wypisane na *azulejos* przy drzwiach wejściowych).

Oliwę smakuje się jak wino. Ma swoje rankingi i jest skrupulatnie klasyfikowana. Jej właściwości najpierw ocenia się na podstawie

wyglądu. Szefową spółdzielni, panią Manu-elę, która oprowadza po tłoczni, także można ocenić na podstawie wyglądu: ma pięknie natłuszczoną skórę, błyszczące włosy, paznokcie lśniące jak glazurowe płytki i nieschodzący



KATEDRA OLIWNA

Oliwę przechowuje się w cysternach z nierdzewnej stali, która nie zmienia jej smaku ani zapachu.

z twarzy uśmiech – wszystko to wskazuje jednoznacznie na regularny kontakt z antyutleniaczami i nienasyconymi kwasami tłuszczowymi, za które tak ceniony jest sok z oliwki.

Manuela nalewa kilka kropli gęstego, mętnego płynu na przypominający wklęsłą soczewkę szklany spodek, aby można było po-





FOT. WILCZAK KOLEFANOWICZ

PAŚOWE PATIO

Renesansowy dziedziniec kolegiaty Santa Maria de la Asunción, zabarwiony na różowo refleksami czerwonej posadzki.

równać kolory dwu gatunków – mlecznozielonego i żółtozielonego. Następnie napełnia dwie owalne szklancezki z kobaltowego szkła. Zagrzewam jedną z nich w dłoniach i wciągamy nosem bogaty bukiet, w którym wyczuwam zapach świeżo skoszonej trawy, jabłek i rozgrzanych w słońcu ziół. Dopiero wtedy pociągam niewielki łyk i gdy płyn rozlewa się na języku, oceniam jego rozmaite właściwości. W specjalnej tabeli należy zaznaczyć, czy oliwa ma posmak jabłkowy, gruszkowy, orzechowy, gorzkawy, słodkawy, winny, pikantny, czy też, nie daj Boże, jest surowa, kwaśna, metaliczna, błotnista, pleśniowa,

zatechła lub zjełczała. Najlepsze gatunki *aceite de oliva virgen extra* rozpoznaje się także i po tym, że chwilę po przełknięciu oliwa zaczyna palić i drapać w przełyku, jakby zawierała w sobie ostrą paprykę.

By stwierdzić, że próbowałem wyrobów najwyższej jakości, nie trzeba było podliczać punktów. Należały one bez wątpienia do czołówki rankingu, w którym określa się je jako „świeże i owocowe”, i nie miały w żadnym wypadku nic wspólnego z jednopunktowymi wyrobami „oliwopodobnymi”.

POD OPIEKĄ PANI RÓŻANIEC

Porządnie naoliwiony, ruszam w głąb miasta. Bo Osuna to nie tylko zagłębienie „płynnego złota”, czyli oliwy, ale także miejsce o niezwyklej





FOT. MARCIN KOŁPANOWICZ

PANI ROSARIO

Przed drzwiami kościoła kustosza puszcza dymka – i nie jest to kadzidło.

dza po jasnej nawie przykrytej pełnym harmonii renesansowym sklepieniem i zamkniętej barokowym ołtarzem w stylu plateresco (wyróżnia się on dość szaloną ornamentyką, opartą na arabskich wzorcach i ponadnormatywnym użyciem złota).

Przez boczną kaplicę pani Rosario prowadzi do rozbudowanej zakrystii, otwiera kolejne drzwi i włącza światło, prezentując zgromadzone przez wieki skarby. Na tle szlachetnych późnogotyckich i wczesnorenesansowych ołtarzy wybija się kilka obrazów Jose de Ribery, barokowego artysty, który tworzył pełne światłocieniowych kontrastów kompozycje w duchu Caravaggia. Choć Ribera urodził się w Hiszpanii, nieopodal Walencji, jego prace sprowadzono do Osuny z... Sycylii. Ribera wyru-



historii, pełne fascynujących zabytków. Położone pośrodku czworoboku wyznaczonego przez Sewillę, Kordobę, Malagę i Kadyks, miasto nie leży na popularnym szlaku turystycznym, a przecież zasługuje na to, by przyjrzeć mu się dokładnie. Andaluzyja jest zresztą pełna takich ukrytych klejnotów.

Dachy domów, jak we wszystkich andaluzyjskich miasteczkach, porastają dorodne wiechcie wyschniętej trawy – wydaje się, że jest jej tam więcej niż na „trawnikach” przed budynkami. Wyludnionymi uliczkami docieram do kolegiaty, której prosta bryła wzniesiona z surowych ciosów kamiennych nie zapowiada ukrytych wewnątrz skarbów. Przy wejściu do Santa Maria de la Asunción wita turystów energiczna pani Rosario. Jej imię (Różaniec) pasuje jak ulał do miejsca, w którym pracuje. Rosario oprowa-

s z y ł
bowiem
za młodu do
Italii, by uczyć się
sztuki malarskiej od naj-
lepszych, i wylądował w końcu w
Neapolu, gdzie zyskał zresztą przydomek Lo Spagnoletto (Hiszpanek). Tam właśnie obraz
zakupił od niego Pedro Tellez Giron, trzeci
książę Osuny, i przesłał je do swych rodzin-
nych włości. A książę Pedro przebywał w Italii
nieprzypadkowo – Królestwo Obojga Sycylii
należało wówczas do Korony Hiszpańskiej,
zaś on sam był wicekrólem Neapolu.

Dzięki ambicjom don Pedra i jego następców Osuna stała się księstwem (i to jednym z najbogatszych w Hiszpanii), a dzięki jego zamówieniu do sztuki możemy dziś w tutejszej



FOT. MARCIN KOLPAŃCZYK

PANTEON KSIĄŻĘCY

Ta podziemna miniaturowa katedra jest tak niezwykła, że nazywa się ją Panteonem Andaluzji.

kolegiacie oglądać pięć wczesnych arcydzieł „Hiszpanka”. Jest tu dramatyczne „Ukrzyżowanie”, ze sparaliżowaną bólem Maryją, płaczącym świętym Janem i Marią Magdaleną całującą stopy Ukrzyżowanego. Są portrety świętych: Hieronima z trąbiącym aniołem, Sebastiana Męczennika, Piotra pokutującego i wstrząsające przedstawienie świętego Bartłomieja.

Ribera celował w mrocznych i ekspresyjnych kompozycjach, specjalizował się zwłaszcza w scenach męczeństwa. Święty Bartłomiej Apostoł według starej chrześcijańskiej tradycji zawędrował do Armenii, gdzie nawrócił królewskiego brata, Polymiusa, a w konsekwencji król Astiages rozkazał go w okrutny sposób uśmiercić. Ribera ukazał scenę obdzierania Apostoła ze skóry: muskularny starzec zawieszony został za nadgarstki na gałęzi drzewa, a oprawca, z białą opaską na głowie, w skórzanym kaftanie i zakrwawionym fartuchu ściąga skórę z wewnętrznej strony ramienia męczennika, obnażając doskonale anatomicznie namalowane mięśnie i ścięgna.

Przechodzimy do następnej sali, gdzie pani Rosario – nieco teatralnie stopniując napięcie – otwiera kolejne drzwi wielkiej szafy skarbcza.





FOT. MARGON KOLPANOWICZ

Złote sprzęty liturgiczne, złote monstrancje, a jako ostatni ukazuje się pysznie zdobiony ogromny złoty krucyfik w stylu plateresco. W kościołach Andaluzji przechowywane są prawdziwe bogactwa – nie zapominajmy, że pobliska Sewilla była bramą, przez którą złoty kruszec z Nowego Świata napływał do Europy.

ZEMSTA SNYCERZA

W podziemiach kościoła są jeszcze dwie kondygnacje, na których mieści się Panteon Książęcy, tak niezwykły, że nazywa się go często Panteonem Andaluzji. W najniższej krypcie złożone zostały szczątki książąt de Osuna i hrabiów de Ureña, a ponad nimi znajduje się kaplica Grobu Świętego. To prawdziwa perła renesansowej sztuki dekoracyjnej, niedaw-

no pieczołowicie odczyszczona spod grubej warstwy sadzy, która pokryła wnętrze, przez setki lat oświetlane świecami woskowymi. (Czemu zamiast świec nie używano tu bezdymnych lampek oliwnych – w samym sercu zagłębia oliwy? Ups, zapomniałem zapytać...).

Kaplica powstała na zlecenie Juana Telleza Girona, drugiego księcia de Osuna, w 1545 roku. Wyposażona jest między innymi w hiszpańską płaskorzeźbę „Złożenie do grobu”, niderlandzki ołtarz „Zwiastowania” i pełen subtelnego piękna niewielki alabastrowy posąg Madonny. Marmurowe kolumny dzielą kaplicę na trzy nawy. Sklepienia przypominają wygięte plastry miodu, a ściany ozdobione są efektownymi, fantastycznymi motywami roślinno-zwierzęcymi, bogato złożonymi i polichromowanymi. Niezliczone putta płasają wśród kwiatów, gryfów, zwierzęcych czaszek i centaurów (a nawet centaurzyc), których użyto do dekoracji fryzów i pilastrów.

W płaskorzeźbionej przegrodzie drewnianego chóru zaskakuje osobliwy detal: końcówka najdłuższego pióra ze skrzydła gryfa wciska się między pośladki nagiego młodzieńca. Skąd takie sprośności w Panteonie Andaluzji? Podobno książę Juan, choć krezus, bardzo lichy i z opóźnieniem wypłacał honorarium artystom zdobiącym kaplicę, więc któryś ze snycerzy postanowił się odegrać. (Pamiętajcie, inwestorzy, suto opłacajcie artystów!).

KOŚCIELNE CIASTECZKA

Hiszpańskie kościoły rywalizowały między sobą o to, który z nich będzie posiadał największe i najbogatsze organy. Kolegiata w Osunie jest pod tym względem daleko w tyle za innymi – w bocznej kaplicy posiada tylko skromny instrument, niewiele większy od

NIE LEJE WODY

Pani Manuela mówi tylko o jednym, ale nigdy nie przynudza. Bo tym tematem jest oliwa, a nie flaki z olejem.





FOT. SHUTTERSTOCK

WZGÓRZA ANDALUZJI

Niegdyś grasowali tu *bandoleros*, a dziś smakosze oliwy (ewentualnie reporterzy miesięcznika *Poznaj Świat*).

fisharmonii. Za to, dzięki drobnym gabarytom, można go nosić w procesjach i akompaniować pobożnym pieniom na zewnątrz. Pani Rosario demonstruje brzmienie piszczałek, ale wyraźnie nie grzeszy wyczuciem nastroju, bo zamiast zaprezentować jakąś tradycyjną pieśń dewocyjną, katuje nas hymnem zjednoczonej Europy.

W sklepiku przy wyjściu pytam o pocztówki. Pocztówek nie ma, za to Rosario wyciąga pudełko ciasteczek. Dość zaskoczony tą ofertą, dowiaduję się, że w Hiszpanii zgromadzenia zakonne i kościoły tradycyjnie reperują swój budżet, sprzedając słodkości. Gdy zbieram się do wyjścia, Rosario zapala papierosa (w hiszpańskich knajpach od kilku lat nie wolno palić, w kościołach, jak widać, takiego zakazu nie wprowadzono) i, dzierżąc ogromny żelazny klucz, wyprowadza mnie przed kute drzwi kolegiaty.

SENNA OSUNA

Po Osunie można włączyć się jeszcze długo. Dziś jest tu sennie i spokojnie. W dawnych czasach strach jednak było zapuszczać się w te okolice. Wśród otaczających Osunę wzgórz grasowali *bandoleros* – wyjęci spod prawa zbójcy. Chętnie malował ich Francisco Goya. Na

jednym z obrazów, zatytułowanym „Napad na powóz”, można bliżej zapoznać się z ich działalnością: wymachujący muszkietem opryszek siedzi na dachu dylżansu i rozgląda się, czy nikt nie nadjeżdża, podczas gdy jego kompani przeszukują ubrania zastrzelonych podróżnych leżących na gościńcu; tylko jeden ocalał – i błaga na klęczkach o darowanie mu życia.

Pouczającym jest wstąpić w Osunie do Colegio-Universidad de la Purísima Concepción, czyli budynku Uniwersytetu Niepokalanego Poczęcia, założonego przez Juana Télleza Giróna, drugiego księcia de Osuna, w roku 1548. Uniwersytet działa (z przerwami) do dziś. Duże wrażenie robi jego doskonale zachowane dawne wyposażenie (kaplica, barokowe obrazy, freski) oraz... urodziwa młodzież żeńska.

Warto także, chrupiąc po drodze pachnące kadzidłem kościelne wypieki, pospacerować malowniczymi uliczkami, z których roztacza się widok na rozległe andaluzyjskie panoramy. A potem podjechać na Plaza Mayor, na którym stoi dość niezwykły „przelotowy” ratusz. Pod jedną z jego arkad można przejechać samochodem na drugą stronę, by następnie popędzić między sadami oliwnymi, żegnając rzutem oka w lusterko wsteczne „pozornie niepozorną” Osunę. ○

Na scenie natury

Bogactwo morskich głębin...



Jest tylko jedno miejsce na Ziemi, gdzie uzdrawiająca moc minerałów wykorzystywana jest od wieków do pielęgnacji urody. Na malowniczych plażach wokół Morza Martwego kryształki soli tworzą wyjątkowe struktury, zanurz się w ich magicznej sile!

KREM NAWILŻAJĄCY Z MINERALAMI Z MORZA MARTWEGO

Połączenie naturalnych emolientów, oleju jojoba i skwalanu z dużą dawką magnezu uzupełnia niedobory nawilżenia, zapobiega utracie wody i dodaje skórze blasku.

KREM NAPRAWCZY NA NOC Z MINERALAMI Z MORZA MARTWEGO

Krem z dodatkiem kwasu salicylowego działa przeciwzapalnie, walczy z niedoskonałościami, łagodzi podrażnienia, wzmacnia strukturę osłabionych naczyń włosowatych. Idealny dla cer dojrzałych.



**KREM NA DZIEŃ
Z MINERALAMI Z MORZA MARTWEGO**
Krem z dodatkiem kwasów (glikolowy, mlekowy) działa przeciwzmarszczkowo, ujędrniająco, poprawia owal twarzy. Duża koncentracja magnezu i potasu sprzyja regeneracji i działa rewitalizująco.

**KREM POD OCZY
Z MINERALAMI Z MORZA MARTWEGO**
Krem na bazie ziół reguluje wydzielanie sebum, działa przeciwzmarszczkowo i nawilża delikatną skórę okolic oczu.



Produkty marki **LORIENT** dostępne wyłącznie w sklepach **mydlarnia u Franciszka**.
Lista sklepów na **WWW.MYDLARNIA.INFO**

Jarosław Szczepankiewicz

BOA VISTA

WYMYŚLONA WYSPA

FOT. SHUTTERSTOCK

Wymyślona wyspa opisana przez Anne Marie Louise d'Orléans, księżną de Montpensier, w „Relation de L'isle imaginaire” (1659 rok) „nie leży ani na Północy, ani na Południu; jej klimat ma dogodną temperaturę, która nie odpowiada ani jednemu, ani drugiemu, tak że można go określić z włoska: il mezzo tempo.”





Typowa boavistańska architektura w Rabail

FOT. JAROSŁAW SZCZEPANIEWICZ



Stas i skorupa żółwia Kareta

FOT. JAROSŁAW SZCZEPANIEWICZ

Stas, mój syn, lat 10, wyszukuje na globusie zagubioną wyspę o urokliwej nazwie Boa Vista, czyli Piękny Widok, na środku Atlantyku, w archipelagu Cabo Verde. Widzi siebie leżącego samotnie na leżaku na bajecznie białej plaży, pod kołyszącymi się od podmuchów oceanicznej bryzy palmami; oddalony 450 km od najbliższego stałego lądu, Afryki. Jest wyobraźnią na archipelagu, który – zgodnie z legendą – powstał z kawałków ziemi strzepniętych z ręki przez Boga po skończeniu dzieła stworzenia świata.

Potem przez 180 milionów lat nikt z ludzi nie widział wysp, aż do 1454 roku, kiedy to wenecki żeglarz Alvise da Cadamosto odkrył archipelag. Portugalscy żeglarze nazwali Boa Vista (dawniej Sao Cristovao) i pięć sąsiednich północnych wysp archipelagu (Sal, Santo Antão, Santa Luzia, São Vicente i São Nicolau) – Barlavento, czyli Nawietrznymi. Spodziewamy się więc silnych wiatrów.

Magellan z Sewilli w 1519 roku płynął na Cabo 3 miesiące; Karol Darwin w 1831 roku z Plymouth 3 tygodnie; my dziś z Warszawy lecimy na Boa Vista 1,5 dnia. Podchodzimy do lądowania w Rabail. Stasio obserwuje wyspę z samolotu. Jest inaczej niż w „L'isle imaginaire”, gdzie odkrywca był zaskoczony jej pięknem. Słyszę słowa: – *Tato! Cejrowski w „Boso przez świat” miał rację. Tu nic nie ma. Jest szaro. – Nie dajmy się zwieść pozorom – pocieszam. Musimy to sprawdzić, jak prawdziwi podróżnicy: od wybrzeża do wybrzeża, samochodem, na piechotę lub łodzią. Każda wyspa ma przecież swoje tajemne serce, swoje ukryte wysepki niezwykłości. Mogą nimi być zaczerpnięte grotty (jak na wyspie Kalipso u Homera), miejsca skrywające mroczne tajemnice (jak na wyspie doktora Moreau u Wellsa) czy niedostępne twierdze (jak na tajemniczej wyspie Verne’a). Jakie tajemnice skrywa przed nami Boa?*



Dziewicze wydmy na plaży Curral Velho



Urokliwa uliczka w Rabail



SMUTEK TROPIKÓW

Wymyślona wyspa „jest miejscem kolistym, o długości i szerokości we wszystkich kierunkach około czterdziestu.” Nasza Boa Vista mierzy 30 km z północy na południe i 29 km ze wschodu na zachód. Wyspa ma 60 kilometrów dziewiczych plaż. By ją poznać, ruszamy od południa, od strony przepięknej plaży o śnieżnobiałym piasku do opuszczonej osady Curral Velho. Uwagę Stasia przyciągają stare skorupy gigantycznych morskich żółwi kareta (*Caretta caretta*). Ich samice od 110 milionów lat upodobały sobie Boa Vista, gdzie raz do roku (od czerwca do września) na plażach, o północy i przy pełni księżyca, składają do metrowych dołków po 150 jaj.

Idziemy dalej przez pasmo buszu rozciągającego się wzdłuż wybrzeża. Mijamy słone jezioro, dalekie wspomnienie po solarni. Ruiny osady wyłaniają się ze skalistego otoczenia pozbawionego roślinności o niesamowitej pa-

lecie barw – ochry, czerwieni, brązu, szarości i czerni. Wspinamy się na popękane kamienne mury, obok osuwających się wież. Jesteśmy w środku. Oczyma wyobraźni widzimy dawnych osadników uwijających się w pracy wśród beczenia owiec i porykiwania osłów. Kres istnieniu wioski położyły plagi suszy i głodu w zeszłym stuleciu. Rękę do ekologicznej katastrofy przyłożyli sami mieszkańcy Boa Vista przez wylesianie i nadmierną eksploatację pastwisk, które pozbawiły ziemię wilgoci wytwarzanej przez roślinność.

Kamienny, surowy pejzaż Curral Velho łągodzą kilometry wydym, śnieżnobiała plaża i turkusowy ocean. Po spacerze tarzamy się ze

Pustynia Viana ma 15 km długości
i 10 km szerokości

Deserto
de Viana

Ruiny domów w Provoacao Velha

Stasiem w piachu (tzw. panierka) na cudownie bezludnej plaży rozciągającej się kilometrami. Delektujemy się widokiem fal rozbijających się o opustoszały brzeg. Nad naszymi głowami majestatycznie szubują fregaty wielkie (*Fregata magnificens*), które upodobały sobie na miejsce gniazdowania majaczącą w dali małą skalną wysepkę Ilheu do Curral Velho. Ostrzegam Stasia przed niebezpiecznymi falami przybojowymi, które nieraz nieuważnego pływaka już mocno poturbowały.

Przesyceni słońcem, wodą, piaskiem i wiatrem ruszamy na wyprawę do wnętrza wyspy. Kurs na północ! Przed naszymi oczyma rozpościera się dziewiczy bezkres jasnego piasku utworzony jakimś niezrozumiałym geologicznym cudem. To pustynia, Deserto de Viana, pokrywająca 35 proc. powierzchni wyspy. Rozciąga się 15 km z południa na północ i 10 km ze wschodu na zachód. Nie ma na niej Beduinów, wielbłądów, karawan, skorpionów i ma tylko jedną oazę. Brniemy ze Stasiem po kolana

w piachu wśród fascynujących pejzaży. Wspinamy się na parometrowe wydmy i turlamy się.

Dojeżdżamy wreszcie smagani wiatrem na północny kres wyspy, do plaży Boa Esperença. Wije tam grozą żywiołu i nieskończonością... W burzliwych odmętach leżą zatopione wraki, a w nich niewydobyte dotąd skarby, które pamiętają czasy XV-wiecznej kolonizacji wyspy przez Portugalczyków. Jak z obrazu Zdzisława Beksińskiego wyłania się z topieli statek widmo. To wrak hiszpańskiego towarowca z 1968 roku, Cabo de Santa Maria, który przewoził z Hiszpanii dary od generalissimusa Francisco Franco dla argentyńskich i brazylijskich przyjaciół wspierających go w czasach gospodarczego kryzysu. Na pokładzie były sportowe samochody, jedzenie, lekarstwa, maszyny, ubrania, napoje... Cabo de Santa Maria, po 40 latach rdzewienia i maltretowania przez silny wiatr i ostre fale, już niedługo na zawsze przepadnie w odmętach Atlantyku.



FOT. JAKOŚLAW SZCZEPANIEWICZ

Piękna Boavistanka

RAJ UTRACONY

Ruszamy samochodem połą drogą do siedemnastowiecznego Provoacao Velha. Barwa ziemi mieni się od brązu do czerwieni, a przecinające ją różnokolorowe skały nadają wyspie widok istic marsjański. Nabieramy tchu w cieniu lśniącego białą uroczego kościółka Capela St António, u stóp najwyższego szczytu wyspy, wulkanu Monte Estância (387 m n.p.m.). Dla portugalskich osadników, *degradados* (wygnańców) i *lançados* (mieszkańców), Boa Vista była zarówno miejscem wygnania z raju europejskiej cywilizacji, jak i oazą wolności od więzów tradycyjnego katolickiego społeczeństwa. Choć od 1677 roku Boa Vista ma swego własnego księdza, to do dziś cywilne czy kościelne małżeństwa nie są powszechne. Mimo zakazu poligamii mężczyźni mają wiele kochanek. Jak twierdził kawaler de Mts-



FOT. SHUTTERSTOCK



simieu, narrator z „Wymyślonej wyspy”: „Amor rozumie wszystkie języki i jest najlepszym nauczycielem sztuki wyrażania siebie.”

Provoacao Velha nie daje wielu oznak życia. Snujemy się leniwie wśród starych zrujnowanych domostw i nowych domów wznoszonych z pieniędzy boavistańskiej emigracji zarobkowej w Europie. Sączymy coca-cole w oberży walczącej o komercyjne przetrwanie w realiach XXI wieku. Okres XVIII-wiecznej świetności miasteczka minął, kiedy bogactwo mieszkańców Boa przyciągnęło niezdrową uwagę piratów. Po serii łupieżczych rajdów Povoacao Velha upadło. Polityczne i gospodarcze centrum wyspy przeniosło się do Sal Rei.

W Sal Rei (dosłownie: „Król Soli”) odkrywamy dumne pozostałości XV i XVI-wiecznej kolonialnej przeszłości: przestronne domostwa, stare solarnie, kaplicę i żydowski cmentarz. Miasto było wtedy bogate i cywilizowane. Dynamiczna gospodarka opierała

Wrak Cabo de Santa Maria na smaganej żywiotami
plaży Boa esperança

FOT. JAROSŁAW SZCZEPANIEWICZ

się na produkcji i handlu solą. Tak jak w „Wymyślonej wyspie”: „był to port, gdzie wpływało się przy wszelkich wiatrach, i gdzie żaglowce najbardziej zagrożone sztormem znajdowały azyl przeciwko wściekłym burzom”. Wyobrażamy sobie ze Stasiem, za opisem kawalera de Mtssimieu, skrywane tu kiedyś skarby: „Miliony złotych monet, duże ilości złotych sztabek, beczki pełne ciętych i różnorodnych diamentów; dużych rubinów; przerośniętych, okrągłych oraz gruszkowatych pereł.” By chronić swe bogactwa przed piratami, Sal Rei wybudowało w 1818 roku fort Duque de Bragança na przyległej wysepce Ilheu do Sal Rei. Można do niej dotrzeć w 10 minut, przekonując rybaka paroma banknotami, żeby nas tam zabrał.

Zabójczy cios gospodarce Sal Rei zadali nie morscy rabusie, gdyż siła zainstalowanych na Duque de Bragança żelaznych armat pewnie samym blaskiem ich odstraszała. O upadku zdecydowały: koniec handlu niewolnikami w 1876 roku, nadzwyczaj surowe susze, osiemnastowieczna rewolucja przemysłowa oraz rozwój transatlantyckiego handlu. Wzrósł na znaczeniu port Mindelo na wyspie Sao Vi-

cente – wystarczająco głęboki dla parowców, ze składowiskami węgla i odpowiednią osłoną przed oceanicznymi wiatrami. Wraz z przemianami prosperity legła w gruzach i popadła w zapomnienie warownia Ilheu do Sal Rei, a samo Sal Rei mocno podupadło. Dziś cała wyspa liczy raptem 6 tysięcy mieszkańców.

RAJ ODZYSKANY

Profesor Zbigniew Religa powiedział: – *Miałem ukochane miejsce w świecie – Wyspy Zielonego Przylądka. Ukochane było dawno temu, kiedy nie było tam tych wszystkich hoteli, tłumy turystów, hucznych imprez, a ja mogłem łowić ryby.* My, ze Stasiem, przeciwnie – odkryliśmy na Boa Vista, z dala od modnych hoteli, resortów i prywatnych willi, magiczne piękno tkwiące w każdej wyspie.

Będzie ono nas przywoływało, kiedy już postawimy stopę w Europie. Jak w mitologii greckiej, gdzie zamieszkały świat otoczony był Oceanem, tak i dziś każdy kontynent jest przecież tylko dużą wyspą, która ma swoje tajemne serce, swoje ukryte wysepki niezwykłości... ○



WYDANIA SPECJALNE

SPRAWDŹ, ZANIM WYRUSZYSZ W PODRÓŻ



➤ **141**
aparatów



- **ABC** aparatów
- **105** kompaktów
- **36** lustrzanek

i aparatów z wymienną optyką

➤ **200**
obiektywów



- **ABC** obiektywów
- **obiektywy**
do lustrzanek

i aparatów z wymienną optyką

DOWIEDZ SIĘ JAK WYBRAĆ APARAT I OBIEKTYW

Do nabycia w dobrych w salonach prasowych i na www.foto-kurier.pl

FOTO KURIER

ZIEMIA PEŁNA KLEJNOTÓW

Anita Demianowicz

Z wulkanicznych gór roztaczają się nieziemskie widoki. Do tego dzika przyroda, piękne jeziora i oceaniczne plaże, które stwarzają idealne warunki do uprawiania sportów wodnych. W języku rdzennych mieszkańców ten kraj nosi nazwę Cuscutlan – Ziemia Pełna Klejnotów.



Za oknem autobusu przesuwa się skąpany w słońcu krajobraz. Pojawiają się soczyście zielone drzewa, po czym niewielkie domki z licznymi straganami rozstawionymi wzdłuż drogi. Sieliskie obrazy pozwalają zapomnieć, że zbliżam się do granicy kraju zdominowanego przez gangi.

Salwador od lat znajduje się w czołówce najniebezpieczniejszych krajów świata. Oprócz wysokiej przestępczości, w tym dużej liczby zabójstw, poziom zagrożenia podnoszą jeszcze wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi i huragany. Mieszkańcy Salwadoru nigdy nie mieli łatwego życia. Najpierw „wojna futbolowa” z Hondurasem, później trwająca 12 lat (1980-1992) wojna domowa, która zaowocowała ogromnymi problemami z młodocianymi przestępcami formującymi się w gangi zwane *maras*. Wszystko to sprawiło, że turyści szerokim łukiem zaczęli omijać ten piękny kraj.

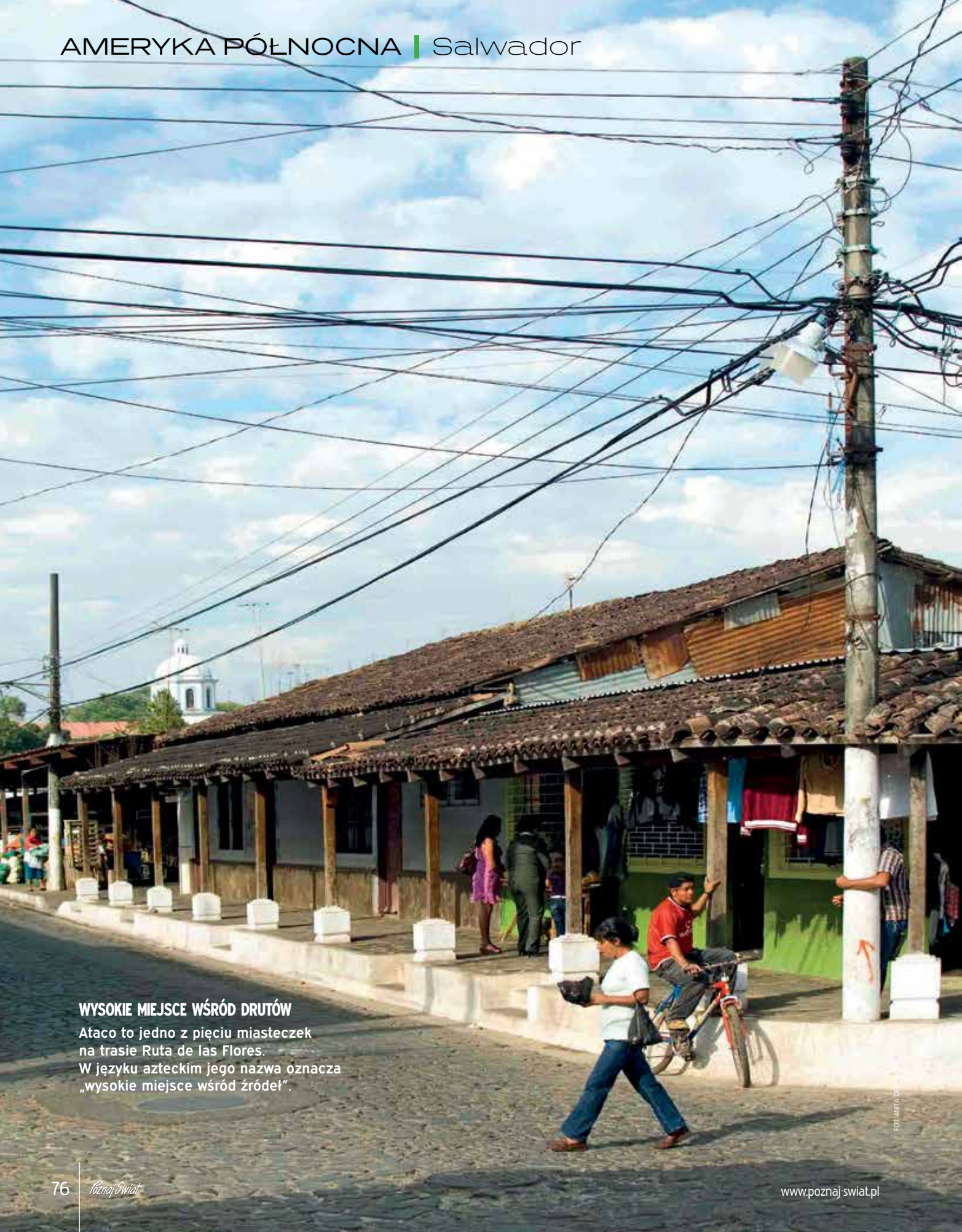
Salwadorski pogranicznik wita mnie rewizją bagaży, które dodatkowo skrupulatnie obwąchuje jego pies. Tym razem nie mają szczęścia, okazują się zwykłą turystką. Zaskoczony,

a może nawet rozczarowany fiaskiem przeprowadzonej akcji, przedstawiciel służb obdarza mnie profesjonalnym uśmiechem i życzy miłego pobytu.

NA DOLE HANDELEK, U GÓRY KABELEK

Stolice państw Ameryki Środkowej cieszą się na ogół złą sławą. Z tego też powodu zorganizowani czy indywidualni turyści odwiedzają je tylko przejazdem. Miałam zatem obawy, wybierając San Salwador na bazę wypadową.

Centrum miasta nie należy do najpiękniejszych. Standardowa wizja, z zadbanym rynkiem, rabatkami kwiatów, ulicami zamkniętymi dla ruchu ulicznego, tutaj nie pasuje. Nie brak w stolicy Pałacu Narodowego oraz Katedry Metropolitalnej, jak w dużych miastach Ameryki Środkowej, ale Plaza Barrios przypomina raczej wielki targ niż reprezentacyjne centrum miasta. Uliczki wypełnione są małymi straganami, na każdej wolnej powierzchni parkują samochody, inne próbują przecisnąć się między nimi. Rządzą tłok i korki. Autobus



WYSOKIE MIEJSCE WŚRÓD DRUTÓW

Ataco to jedno z pięciu miasteczek na trasie Ruta de las Flores. W języku azteckim jego nazwa oznacza „wysokie miejsce wśród źródeł”.

przejeżdżający przez centrum w godzinach szczytu potrafi przez pół godziny nie przesunąć się ani o metr. El Salvador zresztą to kraj niewielki (21.040 km²) i gęsto zaludniony – na kilometr kwadratowy przypada 324 mieszkańców (w Polsce – 123).

Próbując znaleźć coś ładnego, celowałam aparatem wysoko, na przykład w wierzchołek Pałacu Narodowego, ale wszędzie widziałam tylko porozciągane górą kable elektryczne. To cecha Ameryki Środkowej. Trudno w takich warunkach o dobre zdjęcie. Jeśli na fotografii pojawia się kawałek wieży kościoła czy fasady ciekawego budynku, to zawsze jest on uwieczniony w pajęczynie wszechobecnych przewodów.

DOTKNAĆ UST WULKANU

Wybieram się do El Boqueron (Szerokich Ust), czyli jednego ze szczytów Quezaltepec (inaczej wulkanu San Salvador). Krater liczy 45 metrów głębokości. Ponieważ ostatnia erupcja miała miejsce w 1917 roku, ścieżka do niego prowadzi przez zadbane i piękny ogród, pełen drzew i kwiatów. Aż trudno uwierzyć, że tą drogą kiedykolwiek spływała gorąca, niszczycielska lawa. Turyści żądni przygód i wyjątkowo sprawni fizycznie mogą nawet zejść, by dotknąć dna krateru. Schodzi się jednak już na własną odpowiedzialność – jak głosi napis przy wejściu. Dlatego wcześniej warto zgłosić się do policji turystycznej z prośbą o eskortę.

Salwador to kraj o górzystym i wulkanicznym krajobrazie. Na jego niewielkiej powierzchni można doliczyć się aż 21 wulkanów. Część z nich jest wygasła, niektóre jednak wciąż zagrażają. Jednym z najaktywniejszych w Ameryce Środkowej pozostaje Izalco (1965 m n.p.m.), który wraz z najwyższym wulkanem kraju – Santa Aną (2386 m

n.p.m.) i nieczynnym już Cerro Verde wchodzi w skład Narodowego Parku Wulkanów. Na szczyt Cerro Verde, gdzie znajduje się brama wjazdowa do parku, dojeżdża się autobusem. Wejście na pozostałe dwa możliwe jest tylko z przewodnikiem i pod obstawą policji turystycznej.

Ze szczytu Santa Any można zobaczyć turkusowe wody „laguny”. Dawniej można było się w niej kąpać, dziś takiej sposobności



SPORO NA GŁOWIE

Mobilny handel
w wydaniu mieszkanki
miasteczka Juayúa.

już nie ma. Temperatura wody wynosi bowiem 80 stopni Celsjusza.

Wulkan Izalco z kolei oferuje krajobrazy rodem z innej planety. Skaliste szczyty z dymiącymi fumarolami dostarczają odmiennych, ale równie fascynujących wrażeń.

ZIELONE OKO ŚWIĘTEJ ANNY

Lazurowa „laguna” wewnątrz wulkanu Santa Ana, jednego z trzech leżących na terenie Parque Nacional los Volcanes.

POGRZEBANI JAK W POMPEJACH

W Salwadorze natknąć się można na kilka miejsc, których magiczna atmosfera u każdego pobudza instynkt odkrywcy. Istnieje legenda związana z przepięknym miejscem, Puerta del Diablo. Tak nazwano szczelinę powstałą między dwoma majestatycznymi skałami. Można z nich podziwiać panoramę Salwadoru z widokiem na wulkany i słynne jezioro Ilopango.

nie zostało pogrzebane pod popiołem i lawą. Jego mieszkańcy ewakuowali się w popłochu, pozostawiając cały dobytek. Odkrycie ruin pozwoliło na zaznajomienie się z codziennym życiem dawnych Indian. Swoją nową dom znaleźli później w San Andrés, leżącym w dolinie Zapotitán. Z czasem również i to miejsce zostało zniszczone przez wybuch wulkanu.

Jednym z najważniejszych i najlepiej zachowanych stanowisk archeologicznych w Salwadorze jest Tazumal. Nazwa ta (w ję-



Z miejscem tym wiąże się historia miłości diabła, który lokując uczucia w pewnej dziewczynie, wzbudził gniew jej ojca. Ten postanowił schwytać zalotnika, aby uniemożliwić romans. Pogoń zakończyła się sukcesem. Diabeł, próbując uciec, rozbił skałę, a ta rozstąpiła się, tworząc wrota, przez które czmychnął. Dziś spotkać tam można wtulone w siebie zakochane pary z optymizmem spoglądające w dal.

Na terenie Salwadoru nie brakuje śladów cywilizacji Majów. Jednym z ważniejszych stanowisk archeologicznych jest Joya de Ceren, która w 1993 roku została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. To dobrze zachowane miasteczko nazywane jest często „amerykańskimi Pompejami” – aż dwukrot-

zyku Majów (zwanym *k'iche'*) oznacza „miejsce, w którym spalone zostały ofiary”. Ruiny nie są jeszcze w pełni odkryte, ale ze swoimi grobowcami, piramidami i pałacami ukazują, jak żyli najbogatsi przedstawiciele plemienia.

DROGA KWIATÓW DO ŻOŁĄDKA

Ukwieczone pola i płatki kwiatów sypiące się pod nogi – tak wyobrażałam sobie Drogę Kwiatów, czyli słynną Ruta de las Flores. Gdy wjeżdżam na trasę, przed moimi oczami nie rozpościerają się jednak dywany kwiatowe. Czas ich kwitnienia przypada na okres między październikiem a lutym. Jestem niestety po czasie.

Z GŁOWĄ W CHMURACH
Widok ze szczytu Cerro El Chulo, ulubionego miejsca zakochanych.

OFIARNE MIASTO

Tazumal – ruiny jednego z ważniejszych i najlepiej zachowanych miast majańskich w Salvadorze. W języku *K'iche'* słowo *tazumal* oznacza „miejsce, gdzie palono ofiary”.



FOT. ANITA DEMANOWICZ

Drogę Kwiatów łączy jednak pięć kolonialnych i niezwykle barwnych miasteczek, umiejscowionych bardzo blisko siebie: Salcoatitan, Concepcion de Ataco, Apaneca, Nahuizalco i Juayua. Każde z nich oferuje inne atrakcje, z których korzystają zwłaszcza lokalni turyści. Chętnie odwiedzają miasteczko Juayua, w którym podczas weekendowych dni roznosi się zapach miejscowych specjałów. Co tydzień odbywa się tu festiwal jedzenia, czyli *feria de comida*, dająca możliwość wypróbowania zarówno tradycyjnych dań, jak i bardziej wymyślnych specjałów. Mało kto może oprzeć się jednej z ulubionych salwadorskich przekąsek, czyli smażonej juce (*juca frita*), czy grillowanym platanom. Można tu natknąć się także na smażoną żabę czy węża.

Ruta de las Flores słynie również, oprócz jedzenia, z najwyższej jakości kawy. Uprawiana w tej okolicy i eksportowana na cały świat jest dumą Salwadoru.

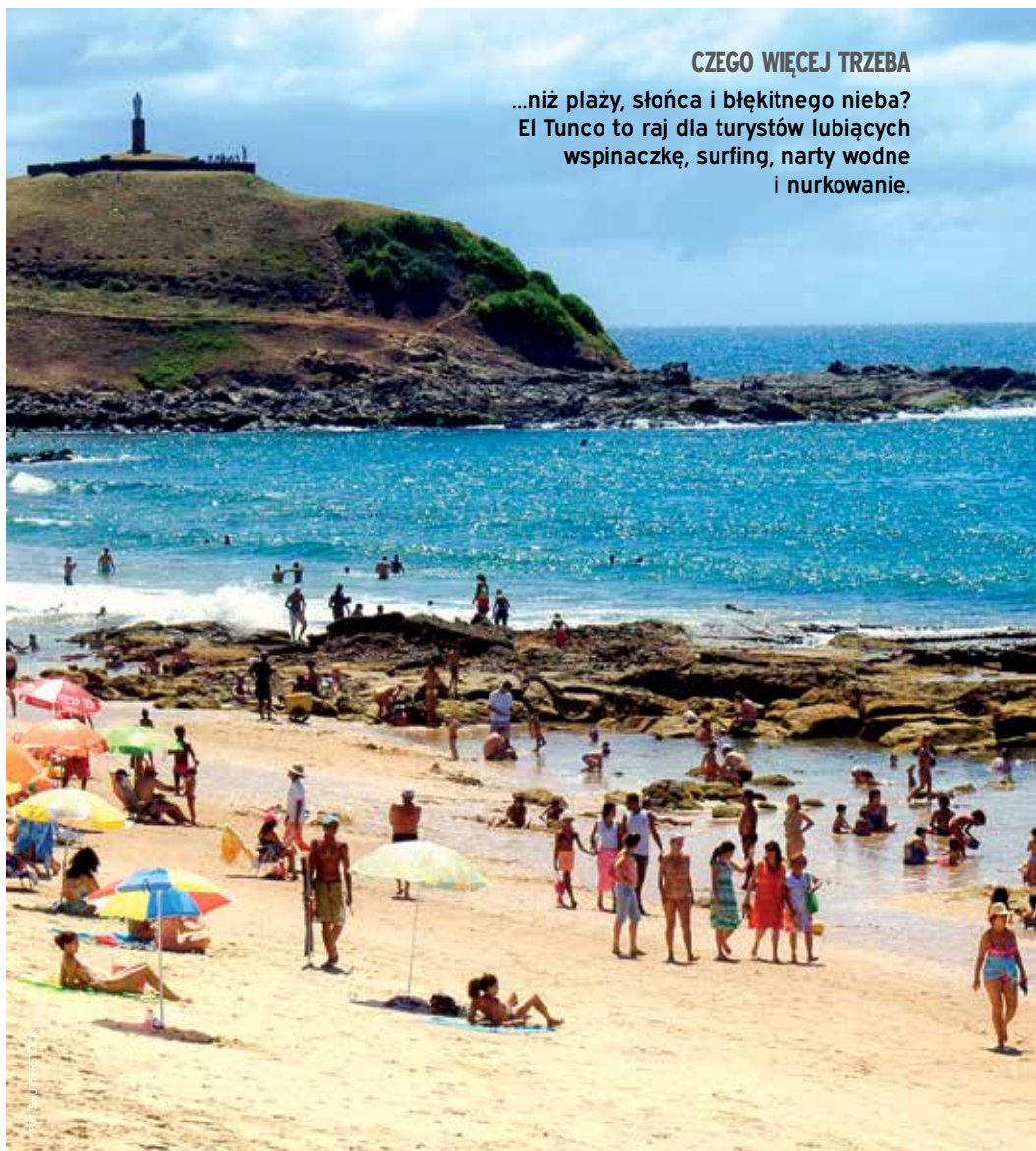
Tym, którzy oczekują czegoś więcej niż siedzenie przy stole, miasteczka proponują wiele wycieczek trekkingowych pozwalających na odwiedzenie pięknych kaskad i jezior. Stąd łatwo również dostać się do jednego z parków narodowych – El Imposible.

SA JESZCZE DZIKIE PLAŻE

La Costa del Balsamo czy La Libertad, z popularnymi piaszczystymi plażami Punta Roca czy El Tunco, to dla większości przyjeżdżających tu osób raj surfingowy. Idealne warunki klimatyczne sprawiają, że mimo niezbyt dobrej reputacji Salwador swoimi plażami potrafi przyciągnąć turystów. Przez długi czas jednak, w trakcie wojny domowej i jeszcze długo po niej, zniknął z surfingowych

map. Dziś rząd tego kraju chce wypromować wybrzeże, zapewniając turystom odpowiednią infrastrukturę, jeśli trzeba – nawet z obstawą policji.

Ja jednak wybieram wioskę Barra del Santiago, zaprzeczającą swoim istnieniem słowom piosenki Ireny Santor, że „już nie ma dzikich



CZEGO WIĘCEJ TRZEBA

...niż plaży, słońca i błękitnego nieba?
El Tunco to raj dla turystów lubiących wspinaczkę, surfing, narty wodne i nurkowanie.

plaż”. W Barra del Santiago właśnie się zachowała. Można zatopić się w ciszy i odetchnąć od wszystkiego, a czasem nawet spotkać znanych aktorów z Hollywood, którzy właśnie tutaj odnaleźli swoją oazę spokoju.

Salwador potrafi oczarować. I można go pokochać. Trzeba tylko dać mu szansę. ◉



Portugalia

FOT. JAROSLAW FIEBEK

NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



FOT. SHUTTERSTOCK

Finlandia



FOT. ROBERT KRYGER

Polska



GDAŃSK

MORZE MOŻLIWOŚCI

Ponad tysiąc lat historii sprawia, że Gdańsk to miasto wielowymiarowe, wciąż kryjące w sobie wiele tajemnic. Do dziś na turystycznej mapie znajdują się miejsca mało znane i rzadko odwiedzane.

Jednym z nich jest Twierdza Wisłoujście. Ten ponadpięsetletni zabytek jest przykładem portowego zespołu obronnego. Szturmował ją Stefan Batory, stąd wyruszyły okręty Zygmunta II Wazy. W oddziałach Muzeum Historycznego Miasta

Kolejnym obiektem, który niełatwo znaleźć w turystycznych folderach, jest górujący nad miastem Fort Grodzisko. Ten liczący kilkaset lat zabytek powraca do życia. W 2000 roku na szczycie Góry Gradowej ustawiono krzyż, który ma upamiętnić obchody początku milenium. Miejsce to jest uznawane za najlepszy punkt widokowy, z którego podziwiać można panoramę Gdańska. W 2005 roku na Wysokim Czole Kurkowym umieszczono pomnik ku czci Napoleona – tzw. stół napoleoński. Zwiedzanie fortu jest możliwe w każdą sobotę.

Na kulturalnej mapie miasta coraz większą rolę odgrywa Polska Filharmonia Bałtycka im. Fryderyka Chopina. W zabytkowych, przebudowanych i rozbudowanych budynkach dawnej miejskiej elektrowni organizowane są koncerty symfoniczne, recitale i wieczory kameralne, w których występują wykonawcy z Polski i całego świata. Ponadto w Galerii Sztuk Plastycznych na Ołowiance prezentuje się wystawy z klasycznych dziedzin sztuki, jak malarstwo, grafika czy fotografia, oraz z najnowszych działań w obszarze nowych mediów.

Aby przekonać się o potencjale Gdańska w sposób prosty i niedrogi, można skorzystać z takich produktów, jak Karta Turysty oraz aplikacja gdansk4u MOBILE.

Karta Turysty „Gdańsk-Sopot-Gdynia-Plus” daje możliwość zakupu trzech opcji, w zależności od potrzeb (karta rabatowa, zwiedzanie lub komunikacja). Karta oferuje rabat na 240 atrakcji.

Natomiast aplikacja gdansk4u MOBILE to bezpłatny przewodnik po Gdańsku. Dostępna jest na iOS/Android/Windows, w 3 językach. Umożliwia interaktywne korzystanie z profesjonalnie przygotowanej informacji (turystycznej, kulturalnej, sportowej), dostępnej też w trybie offline (bez kosztów transmisji danych).

Zapraszamy do Gdańska.

Miasto Gdańsk zajęło II miejsce w konkursie portalu PlaceKnow.com "Pokaż wreszcie, co masz w mieście", któremu patronował miesięcznik *Poznaj Świat*.



Gdańska Twierdza Wisłoujście znajdują się zbiory na temat historii fortyfikacji, jej licznych funkcji oraz systemów obronnych miasta. Obiekt otwarty jest od czerwca do września.

Innym ciekawym historycznie miejscem jest założony przez Prusaków Szaniec Jezuicki. Jest on dobrze zachowanym przykładem wczesnego fortu murowanego z cegły, z eksperymentalnym użyciem konstrukcji betonowych. Niestety, nie jest udostępniony publicznie od wewnątrz.

Warto zobaczyć także najróżniejsze formy fortyfikacyjne obrony wybrzeża w dzielnicy Stogi. Znajdziemy tu schrony budowane od końca XIX w., jak 3. Bateria Artylerii; sprzęż I wojny światowej, jak Bateria Zatokowa; z początku lat 1950., jak 25. Bateria Artylerii Stałej. W swoich latach tworzyły one dobrze zorganizowany system obrony artyleryjskiej gdańskiego wybrzeża.



LIZBONA

Jarosław Fiderek / www.24stolice.pl



FOT. JAROSŁAW FIDEREK

Licząca 600 tys. mieszkańców, położona nad brzegiem Tagu Lizbona to miasto o historii sięgającej czasów starożytnych. Po odbiciu ziem z rąk Luzytanów Rzymianie nazwali założoną tu osadę Olisipio, a w czasach Juliusza

Cezara przemianowali na Felicitas Julia. W VIII wieku znaczna część Półwyspu Iberyjskiego, w tym i tereny dzisiejszej Lizbony, przeszła pod panowanie Maurów. Z tego okresu pochodzi najstarsza z dzielnic Lizbony, Alfama, o układzie ulic sprzyjającym życiu toczącemu się na zewnątrz budynków. Przełomowym rokiem dla Lizbony okazał się 1147, gdy wojska Henryka I pochodzącego z królestwa Portugalca zdobyły miasto i strzegący je zamek św. Jerzego.

Dziś, jak i przed wiekami, zamkowe mury górują nad miastem, choć warto wiedzieć, że są efektem rekonstrukcji z początku XX wieku dokonanej po zniszczeniach, jakie przyniosło z sobą trzęsienie ziemi z 1 listopada 1755 roku. Zniszczyło ono olbrzymią część Lizbony, a fala tsunami, która nadeszła z oceanu, zalała

Pombal, którego pomnik góruje nad miastem na placu nazwanym jego imieniem. To, co dziś można zobaczyć, to przede wszystkim owa „pombalińska” Lizbona, o założeniach urbanistycznych niezwykle nowoczesnych jak na XVIII wiek. Trzęsienie ziemi, pokonując królewski pałac, stojący u brzegów Tagu (dziś tereny Praça do Comércio), ocaliło jednocześnie położoną na kamiennych wzniesieniach Alfamę – wówczas dzielnicę biedy i osobników najróżniejszego autoramentu. Ocalał też klasztor zakonu św. Hieronima, pre-



FOT. JAROSŁAW FIDEREK



FOT. JAROSŁAW FIDEREK

zentujący wspaniały przykład stylu manuelińskiego charakterystycznego wyłącznie dla Portugalii. Z zagłady ocalał też inny symbol dzisiejszej Lizbony – Wieża Belem, broniąca ujścia Tagu od strony Atlantyku. To również wspaniały przykład architektury charakterystycznej dla okresu sprawowania rządów przez króla Manuela I zwanego Szczęśliwym. Ikoną Lizbony stał się żółty tramwaj, mknący linią 12 po stromych uliczkach Alfamy, czy linią 28 objeżdżający niemal najważniejsze rejony miasta. Innym elementem charakterystycznym są konstrukcje o charakterze znanej u nas kolejki na Gubałówkę. *Elevadores* (windy) – to dwa wagoniki, z których jeden zajmuje pozycję u podnóża wzniesienia, a drugi u jego szczytu. Ruszają jednocześnie i mijają się w połowie drogi. Windy da Bica, da Glória i do Lavra wpisały się w krajobraz miejski na równi z żółtymi wagonikami. Zwłaszcza Elevador da Glória wart jest polecenia, albowiem na górnym postoju oferuje jeden z najpiękniejszych widoków na Lizbonę z tarasu widokowego Miradouro de São Pedro de Alcântara. Na inny punkt widokowy zabiera winda Santa Justa. Rozciąga się z niego widok na Plac Rossio, Tag, Alfamę z widocznym Zamkiem Świętego Jerzego oraz najstarszym kościołem Lizbony – wybudowanym na miejscu dawnego meczetu – katedrą SE.



Lizbona to miasto niezwykle – usytuowane niczym antyczny amfiteatr, w którym widownia zasiada na wzgórzach, a aktorzy występują na scenie rozpostartej nad brzegiem Tagu. Miasto kontrastów tworzących symbiozę.

Autor tekstu i fotografii: Jarosław Fiderek / www.24stolice.pl

 **38°43'N 09°09'W**

Do Lizbony można dolecieć bezpośrednio liniami portugalskimi TAP z Warszawy.

ŚLADAMI MUMINKÓW



 **61°30'N 23°45'E**

Tampere – 178 km na północ od Helsinek.

Finlandia Naantali, Tampere

Każdy miłośnik sympatycznych bohaterów stworzonych przez fińską pisarkę i malarkę Tove Jansson powinien udać się do miasta Tampere. Znajduje się w nim Muumilaakso, czyli Dolina Muminków – muzeum sztuki poświęcone twórczości pisarki. Do jego zbiorów należy około dwóch tysięcy jej prac, między innymi oryginalne ilustracje do książek opowiadających o Muminkach i ciekawa makietka pięciopiętrowego domu tych stworów. Przed muzeum stoi wykonany z brązu pomnik Muminka. Jego postać umieszczona została na skamieniałym pniu drzewa przywiezionym z Madagaskaru.

Drugim ważnym miejscem związanym z bohaterami książek Tove Jansson jest założony w 1970 roku park rozrywki Muumi-maailma – Świat Muminków. Mieści się on na położonej w pobliżu miasteczka Naantali wyspie Kailo i można się na niego dostać minikolejką bądź też pieszo przez długi most. W parku można zwiedzić słynny okrągły dom Muminków, obóz Włóczykija lub łódź Taty Muminka. Wszędzie wokół przechadzają się bajkowe postacie, z którymi można zrobić pamiątkowe zdjęcie i pogawędzić.

 **60°28'N 22°02'E**

Naantali – 15 km na zachód od Turku

JEDEN NARÓD

DWA ŚWIATY

Andrzej Bober



Udało mi się odwiedzić obie Koree i na świeżo dokonać porównań. Do znanych i szokujących różnic w obrębie tego jednego, ale podzielonego narodu doszły nowe: waga, wzrost oraz długość życia.



Kapitalistyczna Korea to dzisiaj trzynasta największa gospodarka na świecie, która swą pozycję osiągnęła w ciągu zaledwie czterech dekad. 49 milionów Koreańczyków na Południu generuje PKB na poziomie 1,62 bln USD, podczas gdy 24,7 miliona obywateli Północy – 40 mld USD. Daje to odpowiednio – 33 tys. USD oraz... 1,6 tys. USD dochodu narodowego na osobę. Eksport Północy od lat pozostaje na zbliżonym poziomie 5 mld USD, podczas gdy Południa odnotowuje ustawiczny i dynamiczny wzrost, wynoszący ostatnio 552 mld USD.



FOT. ANDRZEJ BOBER

KIM JEST WIELKI ARCHITEKT

Pierwszą wizytówką każdego państwa, z jaką turysta latający ma zawsze do czynienia, jest port lotniczy. Nieraz lądowałem na Incheon International Airport w Seulu, które przez pięć lat z rządu uznawane było za najnowocześniejsze i najlepsze na świecie. W czasie ponad setki powietrznych podróży odwiedziłem wiele lotnisk, w tym przepiękne i potężne – chińskie czy katarskie. Tym większe wrażenie zrobiło na mnie lądowanie na płycie ostatniego komunistycznego raju – w Sunan. Kołując na pasie, przecierałem oczy ze zdumienia. Wprawdzie czytałem, że flota powietrzna Korei Północnej jest mocno przestarzała, lecz nie sądziłem, że stanowi skansen starych maszyn ze śmigłami zamiast

silników odrzutowych. Wrażenie potęgował wielki portret „wiecznie żywego” Kim Ir Sena, witającego podróżnych swym śnieżnobiałym uśmiechem.

Kolejnym punktem porównawczym mogą być stolice obu państw. I tutaj też różnice okazują się znaczne. W 60 lat od zakończenia wojny koreańskiej Seul z prowincjonalnego miasta stał się jedną z dziesięciu najbogatszych metropolii świata. Z kolei Pjongjang zatrzymał się w rozwoju na połowie lat 1980., choć nadal robi pewne wrażenie swoim planem i monumentalną socrealistyczną zabudową. Są tu wysokie budynki, szerokie ośmiopasmowe ulice, wielkie place i parki, solidne z wyglądu mosty i stadiony, hotele, a nawet „centra rozrywki”. Wszystko jakby na wyrost. Przyjrzawszy się bliżej tym konstrukcjom, dostrzeżemy jednak upływ czasu i skutki procesów degradujących: rdzę, dziury, braki w oszkleniu itp. Wiele spośród tych obiektów nigdy nie było remontowanych.

Surrealistyczne wrażenie potęguje informacja tamtejszego aparatu propagandy, wedle której większość obiektów w Pjongjangu zaprojektowali: zmarły w 1994 roku Wielki Wódz – towarzysz Kim Ir Sen oraz jego syn,



FOT. ANDRZEJ BOBER

zmarły w 2011 roku Ukochany Przywódca – Kim Dzong Il.

STOŁECZNE WIDOKÓWKI

Wieżowce w Seulu – takich w Pjongjangu, poza pojedynczymi budynkami, próżno szukać. Za to na każdym kroku natkniemy się na rodzinne portrety klanu Kimów, na których tle rodzimi turyści lubią się fotografować.

MIĘDZYNARODOWE LOTNISKO WIDMO

Samoloty lądują na Sunan w Pjongjangu zaledwie kilka razy w tygodniu. Północnokoreańskie linie Air Koryo obsługują połączenia tylko z trzema krajami.



FOT. ANDRZEJ BOBER



POŁUDNIE O PÓŁNOCY

Seul – prawdziwa metropolia nigdy nie śpi.

TU ZBIERANY JEST LUD

Plac Kim Ir Sena, na którym odbywają się defilady i wiece poparcia dla reżimu.

MOJA KOMÓRKA SZPIEGOWSKA

Jedynym problemem w Korei Południowej okazał się zakres fal mojej komórki. Nie mogłem dodzwonić się do rodziny. Za niewielką opłatą na lotnisku wypożyczyłem telefon, z



FOT. ANDRZEJ BOBER

POD CZUŁĄ OPIEKĄ

Autor w towarzystwie pracownicy Muzeum Wojny Koreańskiej w Pjongjangu.

którego się połączyłem. W Korei Północnej na lotnisku swoją komórkę musiałem pozostawić w depozycie. Obowiązuje tam bowiem zakaz wwożenia materiałów uznawanych za szpie-

gowskie. Reżim zalicza do nich urządzenia GPS, obiektywy do aparatów oraz niektóre inne urządzenia techniczne, w tym komórki. Rozmowa z telefonu stacjonarnego mogła natomiast zostać wykonana jedynie z hotelu. Poszedłem więc do jednego z najbardziej znanych – Koryo, gdzie usłyszałem, że koszt połączenia w przeliczeniu na złote to 25 PLN za minutę i że będzie on naliczany już w momencie wybierania numeru. Pozostawał mi jedynie internet. Tu różnica pomiędzy oboma krajami jest kosmiczna...

Od lat Koreańczycy z Południa cieszą się dostępem do najszybszego na świecie szerokopasmowego internetu. Przy średniej globalnej wynoszącej 2,9 Mb/s, w Korei Południowej w 2012 roku było to 14 Mb/s (dla porównania: w sąsiedniej Japonii – 10,8 Mb/s, USA – 7,4 Mb/s, Polsce – 5,6 Mb/s).



O szybkości internetu w Korei Północnej trudno coś powiedzieć, wiadomo natomiast, że korzysta tam z niego 0,1 proc. obywateli (w Korei Południowej – 85 procent).

Jedno jest pewne – nikt Północy nie zagrozi, hakując jej banki czy cały system informatyczny. Jeśli w KRLD stać kogoś na wydanie 250 euro za miesięczny dostęp do sieci i uzyska jeszcze na to zgodę, musi bardzo ostrożnie obchodzić się z kupioną w ten sposób wolnością, aby nikomu nie podpaść.

KOREAŃSKIE DOLARY AMERYKAŃSKIE

Goszcząc na Południu, można zauważyć, że obywatele tego kraju dobrze wiedzą, czym jest high-tech. Doskonale zapisał mi się w pamięci widok 80-letniej babuleńki z Południa czatującej poprzez swojego smartfona, a także starszych mężczyzn jadących wielkim seulskim metrem i oglądających mecz baseballa na swoich urządzeniach przenośnych. Trudno temu się dziwić. Samsung Electronics w rankingach największych firm elektronicznych od

lat plasuje się na drugim miejscu za amerykańskim Intellem, zaś grupa biznesowa Samsung (po koreańsku „trójgwiazda”) zatrudnia na całym świecie ponad 400 tysięcy pracowników i posiada swoje oddziały w 60 krajach.

Niemal każdy w świecie rozpoznaje koreańskie marki. Czy ktoś zna jakąś z Korei Północnej? Nie. Ale nie oznacza to, że KRLD nie ma czym błysnąć. Otóż... najlepiej na świecie podrabia amerykańskie dolary. Ekspertcy wymyślają coraz to nowe zabezpieczenia i zachodzą w głowę, jakim cudem reżim tak dobrze je kopiuje. Spektrum działania północnokoreańskich „talentów”, ukierunkowanych na destabilizowanie cywilizowanego świata oraz ratowanie swojej zbankrutowanej gospodarki, jest szerokie: fałszowanie pieniędzy, sprzedaż broni, handel narkotykami, ludzkimi organami oraz podrabianie leków.

Resztę wydawaną w sklepach walutowych na Północy trzymałem w odrębnej kieszeni, zaś przed wyjazdem starałem się jej pozbyć na miejscu. Kilka banknotów przywoziłem jednak do kraju. Faktycznie, okazały się nie do odróżnienia nawet w renomowanych kantorach.

DZIŚ SĄ JEGO URODZINY

Co roku przed świętem Drogiego Solenizanta Kim Dzong Ila ulice przystrajane są flagami. Odkrywczym pomysłem jest użycie piętrowego autobusu, zamiast wysięgnika.



JEDEN Z PIĘĆDZIESIĘCIU TYSIĘCY

Podobnych portretów i pomników Kim Ir Sena znajduje się w całym kraju ponad 50 tysięcy.

KOMUNIZM, CZYLI 60 LAT ODCHUDZANIA

Kiedy wyjeżdżałem pierwszy raz do Azji, wydawało mi się, że wszyscy są tam niscy. Ze 175 centymetrami wzrostu powoli zaczynam być

nocnej, myślałem, że będzie podobnie... Dziś średnia wzrostu mężczyzn z Południa wynosi 175,2 cm przy średniej wadze 70 kg (w Polsce 177,5 cm i 75 kg) – na Północy zaś 165 cm i zaledwie 48 kg wagi! Także wskaźniki długości życia w obu Koreach są mocno zróżnicowane – 79 i 69 lat.



KTO HANDLUJE, TEN ŻYJE

Sprzedaż uliczna w KRLD od kilku lat jest już dozwolona, choć w bardzo ograniczonej formie.

zaliczany do takowych, ale nadal pozostają względnie wysoki w Kambodży, Laosie, Wietnamie i wielu chińskich prowincjach. W Korei Południowej zaś niczym się nie wyróżniam, poza łysiną na głowie. Lecąc do Korei Pół-

Odpowiedź na pytanie o powód tak znacznych różnic przyszła bardzo szybko. Wystarczyło odwiedzić lokalne sklepy lub jadłodajnie, aby zauważyć różnice w dostępie do mięsa, owoców czy warzyw, a więc podstawowych składników niezbędnych do prawidłowego rozwoju. Na Północy brakowało niemal wszystkiego. Występujące na przemian susze i powodzie, mało obszarów uprawnych, brak nawozów sztucznych i wynikające z tego niskie zbiory – w połączeniu z ekstensywną gospodarką



SZKLANE DOMY
Architektura
Seulu – lekka
i nowoczesna.

PARTYJNY BETON
Pjongpjang przytłacza.
Na pierwszym planie
betonowy pomnik Partii
Pracy Korei.

FOT. ANDRZEJ BOBER

– spowodowały, że Północ wielokrotnie doświadczała głodu. Dochodziły do tego złe zarządzanie rolnictwem oraz szkodliwe pomysły społeczno-ekonomiczne komunistycznej władzy. Tylko w latach 1995-1998 głód pochłonął prawie 1,5 miliona istnień ludzkich. Miało to i ma nadal swoje przełożenie na warunki życia i kondycję północnych Koreańczyków.

Wedle danych z bieżącego roku, od czasu zakończenia wojny koreańskiej do Korei Południowej zbiegło 25 tysięcy osób. Na drogę w odwrotnym kierunku odważyło się kilkunastu zapalonych ideologicznie sympatyków idei *dżucze*. Nikt nie ryzykowałby życiem swoim i najbliższych tylko po to, aby wygodniej mieszkać. Powodem ucieczek jest więc skrajna niedza i obawa o własne życie.

SŁABE GŁOWY – MOCNA TRADYCJA

Pochodzą od wspólnego przodka. Mówią jednym językiem. Mogą poszczycić się ponad czterema tysiącami lat historii, w tym trzynastoma wiekami umacniania swojej wspólnoty w

ramach jednego państwa. Wystarczyło jednak zaledwie sześć dekad, by zerwać więź narodową i przekreślić wielowiekowe starania o jedność. Powstaje pytanie, czy jest coś, co Koreańczyków z obu skłóconych państw jeszcze łączy?

To, co w obu Koreach jest na pewno podobne, i co odkryłem na miejscu podczas kilku spotkań towarzyskich, to śmiesznie niskie ceny tamtejszych wódek (*sodżu*) oraz piw (*mekdżu*). No i to, że oni wszyscy mają niezwykle słabe głowy... Mówiąc zaś poważnie – łączy ich niewątpliwie wspólna historia, język, kultura. Poczucie przynależności do jednej rasy. Także dyscyplina i respekt wobec władzy. Mimo podziału Koreańczycy stanowią jeden z najbardziej homogenicznych narodów świata. Tym, co łączy ich kulturowo, jest też świadomość narodowa, wypracowana przez stulecia na drodze licznych powstań i walk o niezależność w czasie agresji obcych mocarstw.

To właśnie wielowiekowa tradycja, mentalność i aspekty kulturowe mogą stać się w przyszłości podstawą zbliżenia, a następnie decydującym spoiwem łączącym Południe z Północą. ○



Andrzej Bober jest autorem książki „Korea zjednoczona – szansa czy utopia?” wydanej w czerwcu przez Kwiaty Orientu. Patronat nad książką objął miesięcznik Poznaj Świat.

Anna Sobotka

WINO ANDY JAK

Należy do najważniejszych winnych stolic świata. Przyciąga coraz większe rzesze turystów. Przyjeżdżają na wakacje do okolicznych winnic i winiarni, z których wiele ma ponadstuletnią tradycję. Mendoza jest kwitnącą, zieloną oazą. Kanały z orzeźwiajączą wodą ciągną się wzdłuż rzędów winorośli i prawie wszystkich ulic w mieście.

Lecąc prosto na wschód, z Santiago de Chile do Mendoza, przecina się najwyższą część Andów. Zalane słońcem łańcuchy górskie ciągną się bez końca. Spadają stromymi, wielokolorowymi stokami do głębokich dolin rzecznych. Białe

czapy lodowców przykrywają szczyty, a ukryte wśród nich jeziora zmieniają odcień w zależności od nasłonecznienia. Jak okiem sięgnąć, nie widać śladów cywilizacji, cienia ludzkiej ingerencji w artystyczną twórczość erozji.



Ale lot trwa tylko godzinę i góry zaczynają łagodnieć. Znikają plamy zieleni po chilijskiej stronie, pojawia się żółtobrnatny odcień pustyni. Rzeki schną w szerokich piaszczystych korytach, przypominając gigantyczne, wijące się autostrady. Autentyczna droga, którą w końcu udaje mi się zauważyć, wydaje się przy nich nienaturalnie cienka i prosta. Gdy pojawiają się pierwsze geometryczne kształty świadczące o ludzkiej aktywności, dolatujemy do celu.

MIASTO WINA I RÓŻ

Mendoza jest obecnie winną stolicą Argentyny – piątego na świecie producenta win – dostarczając ponad 2/3 krajowej produkcji. Leży na ujarzmionym terenie, świetnie przystosowanym do potrzeb człowieka. Została założona w 1561 roku nad brzegami życiodajnej rzeki Rio de Mendoza, która okazała się czę-

ścią zaprojektowanego przez Indian Huarpe systemu irygacyjnego. Doprowadza on wodę z odległych, andyjskich szczytów do słonecznej i pustynnej doliny.





FOT. ANNA SOBOTA



WINNE KRZEWY

Za drutem kolczastym roztaczają się pola winorośli. Długimi rzędami ciągną się one wokół Mendoza.

Pierwsze uprawy winogron zapoczątkowali nawracający Indian jezuici, którzy potrzebowali wina do mszalnych ceremonii i własnej konsumpcji. Sława słonecznej doliny zaczęła

popijano je z wodą mineralną dla złagodzenia cierpkości, stopniowo jednak zaczęto doceniać subtelności i różnice smaków. Eksperymenty z odmianami i mieszaniem różnych gatunków

stałe poprawiały jakość produkowanych w Mendocinie win. W końcu stało się ono powszechnie preferowanym, narodowym napojem Argentczyków. Dopiero wspólnie słodkie napoje gazowane zaczynają i tu zdobywać popularność, wypierając – co trudno zrozumieć – wspaniałego argentyńskiego Malbeca, Cabernet Sauvignon, Merlota czy Syrah.



FOT. ANNA SOBOTA

MIEJSKA OAZA

Jeden z licznych, pięknie utrzymanych placów miasta. W głębi fontanna nasycza powietrze kojącym chłodem.

przyciągać europejskich osadników, bezlitośnie wypierających Indian i przejmujących ich tereny. W XIX wieku, wraz z włoskimi, francuskimi i hiszpańskimi przybyszami, dotarły do Argentyny szlachetniejsze odmiany winogron – merlot i cabernet sauvignon. Wino zaczęło zdobywać coraz więcej zwolenników, stając się popularnym napojem. Początkowo

ustannie nawadniane są potężne jawory, broniące go przed tropikalnym słońcem, oraz róże na miejskich placach. Szumiące fontanny rozpraszają kropelki wody w suchym powietrzu, nasycając je wilgocią. Właśnie to suche powietrze, palące słońce i nieograniczony zasób chłodnej wody przyczyniają się do bogactwa Mendoza, nadając



lokalnym winogronom niepowtarzalny smak. Pustynna suchość broni winorośla przed chorobami wirusowymi i pleśnią, a zimne noce przed pasożytami. Winogrona uprawiane są obecnie w okolicach miasta na różnych wysokościach, od 900 do 1800 m n.p.m., co powoduje zasadnicze różnice w ich smaku, słodczy, grubości skóry i zawartości taniny.

Codziennie z miasta wyruszają luksusowe autobusy przemierzające malownicze drogi pomiędzy najbardziej znanymi winiarniami. Część z nich przypomina doskonale prowadzone ośrodki wczasowe, w których obserwowanie procesu powstawania wina jest tylko jedną z form spędzania czasu. Dla zwolenników ruchu organizowane są tam między innymi rowerowe wyprawy, sprzyjające raczej rozwojowi kultury fizycznej, a nie aktywnej degustacji. Kunszt produkcji argentyńskiego wina można również poznawać na własną rękę, ale nie polecam takiego rozwiązania, bo drogi w tych rejonach świata nie są oznakowane, mapy kiepskie, a odległości duże i trudne do nawigacji.

Mendoza jest miastem, którego urok uważa się stopniowo, wraz z odkrywaniem kolejnych placów i zaułków. Samo centrum nie jest duże, ale po trzęsieniu ziemi w 1861

roku, w którym zginęło ponad 5 tysięcy mieszkańców, zaprojektowano je z rozmachem i w sposób zmniejszający efekty ewentualnych powtórnych kataklizmów. Ulice i chodniki są szerokie i przeplatane przestronnymi placami. Pryncypalnym miejscem jest Plaza Independencia, z czterema mniejszymi placami umieszczonymi symetrycznie, na przedłużeniach jego przekątnych. Tutaj toczy się i nigdy nie zamiera główne życie miasta. Tak jest nawet w godzinach popołudniowej sjeisty, która w pozostałej części Mendozy wyludnia ulice. Ludzie korzystają też z chłodu nocy, uczują i bawią się beztrudno do późnych godzin. Szmerzące fontanny giną w tropikalnej roślinności, a róże nasycają powietrze słodkim zapachem.

ZDRADLIWA GÓRA Z POLSKIM TRAWERSEM

Zielony, chłodny cień kończy się gwałtownie poza granicami miasta. Zaczyna dominować pałace słońce. Tu erozja, a nie człowiek, kształtuje krajobraz. Nie jest to teren łatwy do poznania, bo niewiele jest też dróg do niego prowadzących. Wzdłuż andyjskich szczytów, praktycznie przez całą Argentynę, ciągnie się słynna Ruta 40. W okolicach Mendozy w kierunku gór od-

ALE BEKI

Winiarnia Bodegas Y Vinedos Lopez, założona w 1898 roku, wciąż należy do tej samej rodziny. W głównej piwnicy przechowuje się najstarsze, nawet 60-letnie wina.



FOT. ANNA SOBOTKA



GÓRY BARWNE Z NATURY

Odcienie Andów sprawiają wrażenie, że natura straciła umiar w doborze kolorów.

chodzi od niej tylko kilka odnóg. I tylko jedna z nich, droga numer 7, jest asfaltowa. Wyruszę nią o świcie. Jaskrawą zieloność miasta zamieniam na rdzawą szarość pustyni.

Zbliżając się do andyjskich szczytów, odnowsz wrażenie, że natura nie może zdecydować

Pistacjowe stoki zamieniają się w czerwone urwiska, szare skały poprzecinane są białymi żlebami. W dolinie Los Horcones otwiera się widok na ośnieżony masyw Aconcagui. Potężny i piękny, wznoszący się na wysokość 6961 m n.p.m. – najwyższy szczyt obu Ameryk.

Technicznie uważany za łatwy do zdobycia (bez konieczności używania sprzętu do wspinaczki), lecz w rzeczywistości niebezpieczny, wciąż pochłaniający nowe ofiary. Nawet doświadczeni alpinisci nie doceniają wpływu wysokości na ludzki organizm. Przeceniają też swoją odporność na zmęczenie oraz drastyczne zmiany pogody. Tuż przed moim przy-



FOT. ANNA SOBOTKA

STALOWE ZBOCZA

Szare stoki potężnych masywów górskich w pobliżu szczytu Aconcagua tworzą pełną grozy dolinę.

się na jedna paletę i beztrudnie próbuje wszelkich odcieni. Czarny klif, niby chiński mur, oddziela krwistą rzekę od różowego zbocza.

jazdem do Argentyny Aconcagua pochłonęła następne ofiary – dwóch wytrwałych alpinistów amerykańskich.

DROGA DO WOLNOŚCI

Indiańska ścieżka, zamieniona w wijącą się serpentynami drogę, prowadzi na przełęcz Uspallata pomiędzy Argentyną i Chile. W 1817 roku, w czasie wojny o niepodległość Chile, przeprowiła się tędy część armii generała Jose de San Martina.

Najtrudniejszą drogą wspinaczki jest tak zwany Polski Trawers, wytyczony na południowym lodowcu w 1934 roku przez polską wyprawę. Większość idących na szczyt wyrusza szlakiem na północno-zachodni grzbiet, wyznaczonym przez niemieckiego alpinistę Paula Gussfeldta, który zresztą nigdy tej góry nie zdobył. Po raz pierwszy stanął na niej w styczniu 1897 roku Matthias Zurbriggen, jedyny członek angielskiej wyprawy Edwarda Fitzgeralda. Sam Fitzgerald, mimo podejmowania wielu prób, doświadczenia i organizatorskich zdolności, nigdy nie zdobył szczytu. Niektórzy ludzie po prostu nie mają szczęścia. Obecnie w każdym letnim sezonie wyrusza na Aconcaguę około stu wypraw, z których 60 kończy się powodzeniem.



DEKADA DEKADENCJI

Zamknięty od dziesięciu lat Gran Hotel w Termas de Villavicencio wciąż czeka na remont i powrót do świetności.

SZLAKIEM GENERAŁA ZWYCIĘZCY

Druga główna droga, odchodząca na zachód od Mendoza, nosi numer 52 i jest nie mniej dramatyczna. Początkowo prowadzi przez pustynną równinę, na której tylko wyschnięte koryta rzek stanowią urozmaicenie krajobrazu. Rozgrzane powietrze unosi się nad asfaltem, sprawiając wrażenie, że andyjskie szczyty na



FOT. ANNA SOBOTKA

DAS AUTO

Dzielne auto na przełęczy Uspallata (3832 m n.p.m.).

(Tylko z pozoru jest to podpis sponsorowany).

horyzoncie są bardzo odległe. Ale zbliżamy się do nich nieustannie i gdy osiągamy wysokość 1800 m n.p.m., docieramy do uzdrowiska Termas de Villavicencio – słynnego do niedawna z leczniczych właściwości wód mineralnych oraz gorących źródeł.

Eksplozja zieleni jest natychmiastowa i bardzo kojąca. Elegancki budynek zamkniętego obecnie hotelu wciąż świadczy o splendorze, choć w basenach i fontannach nie ma kropli wody, a kamienne ścieżki coraz bardziej pochłaniane są przez roślinność. Za uzdrowiskiem kończy się asfalt, droga znacznie się pogarsza i zwęża. Serpentynty nabierają rozmachu, karkołomne zakręty trawersują strome górskie żebra. Mozolnie pniemy się w górę i docieramy do położonego na wysokości 3000 m n.p.m. rozległego płaskowyzu – ulubionego miejsca argentyńskiego bohatera narodowego, generała Jose de San Martin. Potęga natury i widocznych na horyzoncie szczytów dawała mu odpoczynek od politycznych problemów. Być może właśnie tutaj narodził się jego genialny plan – górskiej przeprawy armii i absolutnego zaskoczenia Hiszpanów po chilijskiej stronie.

Ruszamy dalej i łączymy się na moment z asfaltową drogą 7, stosunkowo łagodną, dłu-

gim tunelem przebijającą się do Chile. W Las Cuevas odbijamy z kolei na lekko poszerzoną indiańską ścieżkę i, pokonując szalone serpentynty, docieramy na przełęcz Uspallata (3832 m n.p.m.). W 1817 roku właśnie przez nią przeprawiała się część argentyńskiej armii. Pokonanie zaskoczonych Hiszpanów okazało się łatwe, ale o fakcie, że przejścia przez góry nie przeżyła jedna trzecia wojsk generała Martina, nikt już nie pamięta. Przełęczą będzie obecnie granica chilijsko-argentyńska, a wielki pomnik Chrystusa przypomina o pokojowym rozwiązaniu późniejszego konfliktu terytorialnego, tym razem pomiędzy sąsiadami. Na szczęście obecnie panuje tu pokój. Nic nie zakłóca też spokoju gór.

Widok jest niezapomniany. Daleko na horyzoncie, ponad chilijskim szczytem, z którego zwiesza się biały język lodowca, szybuje kondor. Zatacza coraz większe i większe koła, aż w końcu znika z oczu. Zaledwie kilka godzin jazdy samochodem dzieli mnie od tętniącej życiem, zielonej i pachnącej różami Mendoza. Wokół, we wszystkich kierunkach, ciągną się łańcuchy górskie. Jesteśmy tu sami i czujemy się jak odkrywcy. ○

KONKURS

Fjord Nansen



„miej dzikość w sercu na co dzień”

POŁĄCZENIE PASJI OUTDOOROWEJ
Z CODZIENNYMI ŻYCIEM NIE JEST ŁATWE.
MASZ NA TO SWÓJ WŁASNY NIETYPOWY SPOSÓB?
PODZIEL SIĘ NIM!

WSTAJESZ WCZEŚNIE, ŻEBY POPŁYWAĆ KAJAKIEM
ZANIM ZAŁOŻYSZ KRAWAT?
ZJEŹDŹASZ NA NARTACH Z TORBĄ NA ZAKUPY NA PLECACH?

ŁĄCZNA PULA NAGRÓD:

10 000 ZŁ!

WIĘCEJ NA WWW.FJORDNANSEN.COM

PATRONAT MEDIALNY:

PODRÓŻE

GÓRY
www.gorystyle.com

Poznaj Świat
antecore

Jakub Śliwa

SKARBY SUDANU

Zniechęca brak wody, prądu, utwardzonych dróg oraz regularnej komunikacji. Do tego choroby tropikalne. Region nękany jest konfliktami plemiennymi, a tereny przygraniczne pustoszone są przez uzbrojone bojówki. A jednak podróżowanie po tym kraju sprawia przyjemność. Tam liczy się bezinteresowna gościnność. Ludzie są prawdziwym skarbem Sudanu i dla nich warto tam pojechać.

Mecz piłki nożnej w wiosce El-Ar. Rozgrywki odbywają się na centralnym placu wsi. Kończy je nawoływanie muezzina na wieczorną modlitwę.



W okolicach Omdurmanu odbywa się największy w Sudanie targ zwierzęcy. Większość wielbłądów pochodzi z Darfuru.



Nielegalna kopalnia złota w rejonie IV katarakty Nilu. Całodzienny urobek wart jest zaledwie kilka dolarów.



Mimo nędznych zarobków i ogromnego upału praca w kopalni wre od świtu do zmierzchu.



Klienci w przydrożnej knajpce. Jedzenie przygotowywane tu jest zwykle na poczekaniu, ze świeżych produktów prosto z targu.



Szkoła podstawowa w wiosce El-Ar. Klasy są koedukacyjne, jednak dziewczynki siedzą oddzielnie.



Sprzedawca obuwia. Buty wykonywane są ręcznie, w większości ze skór dzikich zwierząt.



Uliczni fryzjerzy w Chartumie. Oprócz golenia i strzyżenia w ofercie są masaże głowy oraz twarzy.



Polscy żeglarze, którzy na jachcie „Lady Dana 44” postanowili opłynąć biegun północny, nieco zmienili wcześniej zaplanowaną trasę. Dołączyli bowiem do międzynarodowych regat „Adventure Race”, organizowanych pod hasłem dotarcia jak najdalej na północ przez usiane krami mroźne wody arktyczne.

KIERUNEK NOWA ZIEMIA

Wzeszłym roku dwa biorące w tych regatach jachty, „Piotr I” i „Luna”, przekroczyły 82 stopień szerokości geograficznej północnej, docierając na odległość 462 mil morskich od bieguna. W tym roku w Arktyce panują sprzyjające warunki pogodowe, co chce wykorzystać załoga polskiego jachtu. Zamiast skierować się z Archangielska na wschód w stronę Wrót Karskich trasą zwaną Przejściem Północno-Wschodnim, kapitan Ryszard Wojnowski postanowił popłynąć najpierw na północ w stronę Ziemi Franciszka Józefa, stanowiącej najbardziej wysunięty w stronę bieguna archipelag Arktyki, a dopiero stamtąd skierować się w stronę Cieśniny Beringa wzdłuż letniej granicy paku lodowego, czyli wieloletniej dryfującej kry morskiej, spiętrzającej się miejscami w groźne lodowe torosy.

Polski jacht zamierza zatem opłynąć biegun w jednym sezonie trasą trudniejszą niż ta, którą wybrali trzy lata temu żeglarze norwescy oraz rosyjscy. Ich jachty trzymały się blisko linii brzegowej Eurazji. Podobnie czynili niegdyś prekursorzy

pływania po arktycznych wodach, którzy mieli mgliste wyobrażenie, jak trudną może być po nich żegluga.

Tysiąc królestw znajdziemy dalekich

Znacznym skróceniem podróży z Europy do Azji zainteresowali się jako pierwsi kupcy angielscy, którzy z zawiścią obserwowali ekspansję morską Hiszpanów i Portugalczyków na morzach południowych. Kolumb, który w poszukiwaniu morskiej drogi do Indii pożegłował przez Ocean Atlantycki na zachód, odkrył w 1492 r. Amerykę. Vasco da Gama skierował się wodami tego samego oceanu na południe i po opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei, zdążając w odwrotnym kierunku niż Kolumb, doprowadził swoje okręty przez Ocean Indyjski do słynącego ze swych legendarnych bogactw kraju maharadzów (1498 r.). Magellan opłynął świat dookoła i przekonał wszystkich, że ziemia jest okrągła (1519-1522 r.). Po drodze dokonał licznych odkryć na Oceanie Spokojnym. Ze wszystkich tych po-

dróży okręty hiszpańskie i portugalskie wracały naładowane złotem i srebrem, a także poszukiwanymi w Europie wonnymi korzeniami.

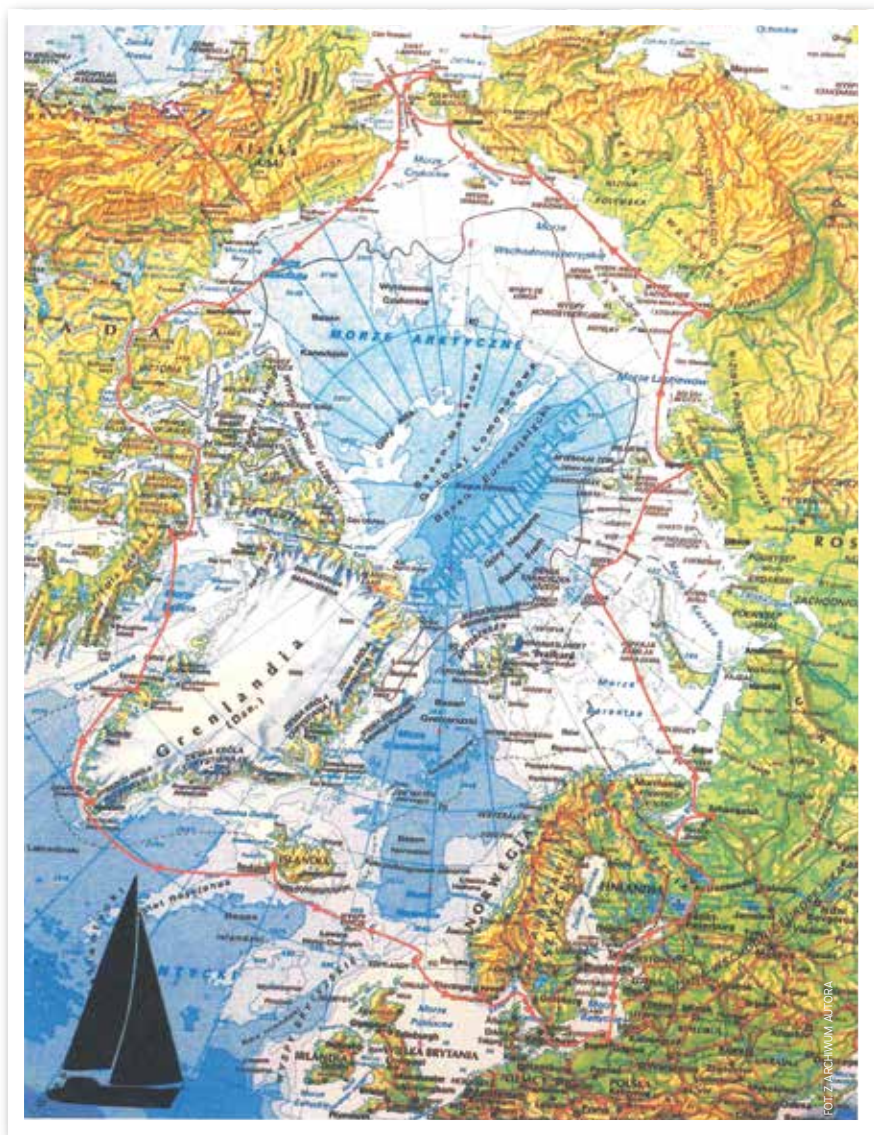
Najmniej zbadane pozostawały wciąż morza arktyczne. W 1527 r. zwrócił na to uwagę jeden z poddanych króla Henryka VIII, Robert Thorne. W liście, jaki skierował do swego monarchy, starał się go przekonać, że przy pomocy małej liczby statków można poznać nowe ludy i państwa. „Aby te miejsca odkryć, pozostała jedna droga, mianowicie na północy, ponieważ z czterech stron świata trzy zostały odkryte przez innych władców”. Anglia leżała w miejscu najdogodniejszym do opanowania zimnych mórz, ale jej władca, zajęty swymi sześciora małżeństwami i ścinaniem niektórych żon, nie dostrzegł korzyści, jakie może przynieść Anglii ta propozycja. Docenił ją dopiero jego syn, Edward VI, który w maju 1553 r. wysłał trzy statki na Morze Norweskie, wyposażając je w list adresowany do „Królów, Książąt i innych Władców zamieszkujących północno-wschodnie części świata w stronie potężnego cesarstwa Katakaj”.

Cytuję to za książką J. L. Bakera „Odkrycia i wyprawy geograficzne”, wydaną w 1931 r. w Londynie, przełożoną na język polski przez Jana Flisa. On też przetłumaczył wiersz angielskiego poety epoki elżbietańskiej, Michaela Draytona, nawołującego rodaków do odkrywczych wypraw, który zaczynał się słowami: „Tysiąc królestw znajdziemy dalekich”.

Rosyjska niespodzianka

Pierwsza angielska wyprawa na zimne wody północy wypłynęła z ujścia Tamizy pod dowództwem Hugh'a Willoughby i Richarda Cancellora. Wśród ogólnej radości żegnały ją tłumy pełne nadziei, że pomnoży morską sławę Brytanii. U Przylądka Północnego, na skraju Europy, potężny sztorm rozdzielił jednak żeglarzy. Willoughby dotarł do bezludnej polarnej wyspy, którą mogła być Nowa Ziemia. Zaskoczyły go jednak u jej brzegów napierające ze wszystkich stron kry. Załogi dwu statków angielskich postanowiły przeczekać zimę na Półwyspie Kolskim. Żle wyposażeni w ciepłą odzież i odpowiednią żywność marynarze najpierw zachorowali na szkorbut, a potem zmarli z głodu i zimna.

Statek pod dowództwem Richarda Cancellora miał więcej szczęścia. Dotarł z całej eskadry najdalej, do miejsca, gdzie „nie było wcale nocy, lecz stałe było widno, a blask słońca jasno rozświetlał rozległe i potężne morze”. Znalazł się w jakiejś zatoce, zapewne Morza Peczorskiego, która miała sto mil albo nieco więcej. Napotkał krajowców, wtedy nazywanych Samojedami, którzy powiedzieli, że ziemie te należą do Państwa Moskiewskiego. Znad Morza Białego Cancellor odbył podróż do Moskwy, gdzie został przyjęty przez cara Iwana Groźnego. Władca Rosji, zainteresowany umacnianiem potęgi swego kraju, która w niemałym stopniu zależała od kontaktów handlowych z Europą (Rosja była wówczas odcięta od Bałtyku), zachęcił Anglików do odwiedzenia z towarami jego państwa. W Londynie powołano wkrótce Moskiewską Kompanię Handlową, zaś car rozkazał w 1584 r. założyć miasto Nowochołmogory w odległości 50 km od ujścia Dźwiny do Morza Białego. W 1613 r. przemianowano je na Archangielsk.



Bez map i locji

Jeden z oficerów statku Chancellora, Stephen Burrough, w trzy lata po powrocie do kraju zorganizował własną wyprawę na dzisiejsze Morze Peczorskie, w czasie której dotarł do wyspy Wajgacz, leżącej na granicy Europy i Azji pośrodku cieśniny Jugorskiej Szar, oddzielającej Nową Ziemię od Uralu. Doprowadzili go do niej rosyjscy rybacy z Półwyspu Kolskiego. Nie udało mu się przedostać na Morze Karskie z uwagi na wielką i przerażającą ilość lodu. Przywiózł jednak wieści, że za Półwyspem Jugorskim, stanowiącym północne przedłużenie Uralu, znajduje ujście do tego morza rzeka Ob, która prowadzi do krainy Kathai, czyli Kitaja (tak brzmi rosyjska nazwa Chin).

Po Anglikach przyszła kolej na ich handlowych rywali, Holendrów. Jako pierwszy żeglarz europejski przedostał się na Morze Karskie Flamandczyk z Brukseli, Oliver Brunel, który w 1576 r. dotarł do ujścia Obu. Żeglarze europejscy wszędzie napotykali ślady obecności rosyjskich Pomorców, mieszkających nad arktycznymi morzami.

Na podstawie ich relacji kartografowie flamandcy sporządzili pierwsze, w miarę nawet dokładne mapy zachodniego sektora Arktyki, na których oznaczyli wyspy Kołgucjów i Wajgacz oraz nieźle przedstawili zachodni brzeg Nowej Ziemi. Białą plamę stanowił długo jeszcze jej brzeg wschodni. Nie wiadano wtedy, że Nowa Ziemia składa się z Wyspy



Obraz holenderskiego malarza Christiana Juliusa Portmana przedstawiający śmierć Willema Barentsa na Nowej Ziemi 20 czerwca 1597 roku.

Północnej i Wyspy Południowej, które rozdziela wąska cieśnina Matoczekin Szar. Na mapie Henricusa Hondiusa, opublikowanej w 1651 r. w Amsterdamie, widać zapożyczone z języka rosyjskiego, choć nieco zniekształcone nazwy Nova Zembla oraz Petzorka Mare. Na starszych o przeszło pół wieku mapach Mercatora Nowa Ziemia jest dwa razy szersza, a jedna z wysp, położonych na zachód od niej, nosi nazwę Hugh Willoughby Land. Nie ma jej w dzisiejszych atlasach. Być może jest to Wyspa Niedźwiedzia odkryta oficjalnie w 1596 r. przez Willema Barentsa, holenderskiego żeglarsza i podróżnika, któremu przypisano sławę odkrywcy Nowej Ziemi.

Wyprawiał się do niej trzykrotnie i opisał w starannie prowadzonym notatniku. W czasie ostatniej wyprawy dotarł do jej północnego krańca, gdzie jego statek został uwięziony wśród lodów. Holendrzy jako pierwsi Europejczycy podjęli próbę przetrzymywania na Nowej Ziemi. Rozbrali swój statek i jego drewna użyli do budowy domku. W ekstremalnie niskich temperaturach rozgrzewali kamienie i żelazne kule armatnie, do których tulili się w czasie snu. Barents był pierwszym Europejczykiem, który zmarł na Nowej Ziemi. Jego imię nosi obecnie Morze Barentsa, które na współczesnych mu ma-

pach figurowało jako Murmanskoi Mare (Morze Murmańskie).

Polskie ślady na Nowej Ziemi
Dokładnie sto lat temu, w czerwcu 1913 r., wybitny polski geofizyk, światowej sławy znawca lodu i śniegu, Antoni Bolesław Dobrowolski, pisał w swej monografii „Wyprawy Polarne”: „Ten ląd, tak bliski kontynentowi, ciągle odwiedzany (...) nie należy bynajmniej do najlepiej znanych”. On pierwszy odnotował liczne polskie ślady na Nowej Ziemi, chociaż kończąc swoją książkę, nie spodziewał się, że za parę miesięcy w Zatoce Krzyżowej na zachodnim brzegu południowej wyspy wzbije się w powietrze Jan Nagórski rodem z Włocławka, pilot pierwszego w historii samolotu prowadzącego obserwacje powietrzne w Arktyce.

Podczas wyprawy do Arktyki w 1964 r. na lodołamaczu atomowym „Lenin” jego kapitan zaprosił mnie na lot śmigłowcem patrolującym lody na Morzu Karskim. Helikopter zbudowany był w Świdniku, zatem nie miałem problemów z przekonaniem pilota, aby zboczył z trasy i umożliwił mi sfilmowanie z powietrza zachodniego brzegu Nowej Ziemi, nad którym latał Nagórski. Nie miałem

wówczas pojęcia, że w 1954 r. Związek Radziecki założył na południowej wyspie swój centralny poligon nuklearny, na którym w 1961 r. zdetonowano najpotężniejszy ładunek jądrowy o mocy 58 megaton o nazwie „car-bomba”. Po latach udało mi się zdobyć mapę wszystkich wybuchów jądrowych na tej wyspie. Dowiedziałem się wtedy, że do października 1990 r. przeprowadzono na Nowej Ziemi 135 prób atomowych. Dopiero wtedy ścierpła mi skóra. Zdjęcia, które wówczas zrobiłem, weszły do mojego filmu „Atomowy rejs”. Bez tej bombowej informacji. Licznik Geigera, w który byłem wyposażony na pokładzie atomowego lodołamacza, żadnej radiacji nie wykazał.

Mimo to, kiedy na kilka godzin przed wyruszeniem jachtu „Lady Dana 44” w rejs dowiedziałem się o przesunięciu jego trasy o przeszło 900 km na północ, ucieszyłem się, że ominie łukiem Nową Ziemię z dala od miejsca, gdzie znajdował się przez ponad 25 lat supertajny obiekt „700”, naszpikowany bombami jądrowymi. Na wszelki wypadek poradziłem jednak Michałowi Kochańczykowi, znajdującemu się na jego pokładzie, aby zaopatrzył się po drodze w dozymetr do pomiaru radiacji, dziś na szczęście łatwo dostępny. Cóż to szkodzi mieć pewność? Mapy nie zdołałem mu już wysłać. ○

KSIĄŻKI POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”

NOWOŚĆ!



Kevin M. Connolly
DRUGI RZUT OKA.
JAK ŚWIAT SIĘ NA MNIE GAPIŁ
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!



Stefan Czerniecki
CISZA
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!



Anna Świętek
JAPONIA
W SZEŚCIU SMAKACH
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!



Danuta Gryka
PÓŁ ŚWIATA
Z PLECAKIEM I MĘŻEM
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!



Jerzy Pecold
PADRE, STRZELBA,
RÓŻANIEC I KOŃ
cena: 44 zł



Wojciech Cejrowski
PODRÓŻNIK WC
WYDM. II POPRAWIONE
cena 43 zł



Basia Meder
BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY
cena: 45 zł



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
cena: 45 zł



Antonio Halik
180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY
cena: 43 zł



Antonio Halik
JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA
cena: 44 zł



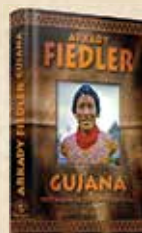
Antonio Halik
Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MÁTÓ GROSSO
cena: 40 zł



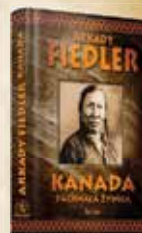
Wojciech Cejrowski
GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



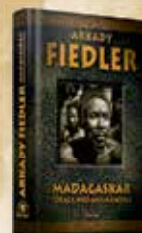
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
cena: 40 zł,
15 zł (opr. miękka)



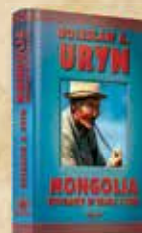
Arkady Fiedler
GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITELO
cena: 49,90 zł



Bolesław A. Uryn
MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP
cena: 42 zł



Kinga Choszcz
PROWADŹ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
cena: 45 zł



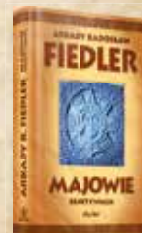
Kinga Choszcz
PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL
cena: 41 zł



Robb Maciąg
ROWEREM
W STRONĘ INDII
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
DALEJ
OD BUENOS
cena: 44 zł



Arkady Radosław Fiedler
MAJOWIE.
REAKTYWACJA
cena: 36 zł

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, podobnie jak nie ma jednej receptury

na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

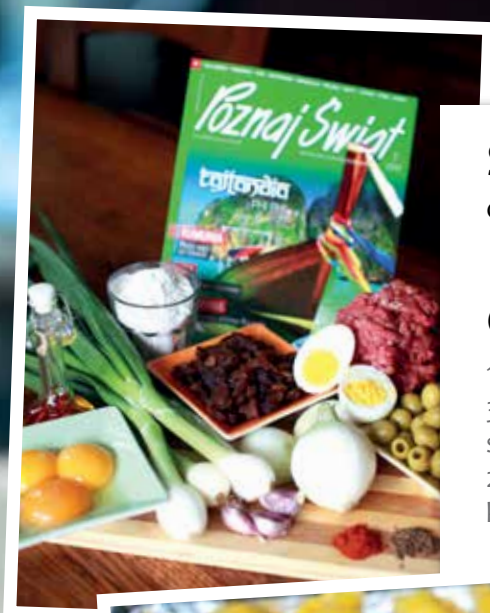
Empanada, daleka kuzynka naszych pierogów, to jedna z najbardziej tradycyjnych potraw argentyńskich. Przybyła na kontynent na początku XVI wieku wraz z hiszpańskimi konkwistadorami, którzy z kolei w średniowieczu przejęli ją od Maurów opanowujących Półwysep Iberyjski. Empanady można napotkać w całej Ameryce Łacińskiej, jednak w każdym kraju nabierają zupełnie innych kształtów i smaków. Podobnie w samej Argentynie każdy region szczyci się swoją własną odmianą tych pieczonych czy smażonych w głębokim tłuszczu „pierogów”. Empanady je się same, najlepiej rękoma, bez dodatków czy sosów, zazwyczaj jako danie główne. Można je również podać z ćwiartką cytryny do skropienia.

Przepis pochodzi z restauracji:
„Kuchnia przy stajni”
ul. Solec 220, Baniocha

ARGENTYŃSKIE EMPANADAS

Na oliwie podsmażyć cebulę, czosnek i białą część dymki. Dodać mięso i przyprawy rozrobione w kilku łyżeczkach wody. Kiedy mięso będzie gotowe, dodać zieloną część dymki. Poczekać, aż farsz ostygnie, dodać oliwki, rodzynki oraz jajka. Delikatnie wymieszać.

W międzyczasie przygotować ciasto. Rozpuścić sól w wodzie. Na stolnicy utworzyć kopiec z mąki, zrobić w środku „krater” i wlać rozpuszczone, ale nie gorące, masło oraz kilka łyżek solanki. Zagnieść, w miarę potrzeby dodawać wody z solą. Zagniatać aż do



SKŁADNIKI (na około 40 empanad – ok. 8 osób):

czas przygotowania: 1,5 godziny

CIASTO:

1 kg mąki
300 g masła
szklanka wody
2 łyżki soli
kilka żółtek

FARSZ:

1,5 kg wołowiny (np. zadniej) drobno posiekanej
2 duże białe cebule
3 ząbki czosnku
pęczek cebuli dymki
5 jajek ugotowanych na twardo i posiekanych na dość duże kawałki
szklanka zielonych oliwek bez pestek, posiekanych
pół szklanki rodzynek
2-3 łyżki oliwy z oliwek
łyżeczka słodkiej papryki
½ łyżeczki płatków suszonego chili
2 łyżeczki mielonego kminu rzymskiego
pieprz i sól



powstania gładkiej, zwartej masy. Rozwałkować ciasto i wyciąć koła o średnicy 12-14cm. Nałożyć 1-2 łyżki farszu, zwilżyć brzegi i zamknąć empanadę. Brzegi można formować w różne formy, najbardziej popularny jest rodzaj „warkoczyka”, jednak sprawdzi się też

wzorek utworzony widelcem czy ten podobny do naszych polskich pierogów. Empanady posmarować rozbełtanym żółtkiem. Piec w piekarniku nagrzanym do 180 stopni około 15-20 minut. Podawać z kieliszkiem czerwonego argentyńskiego wina, najlepiej szczepu malbec.

Wakacje już w pełni. Jedną z ciekawszych form spędzania czasu latem jest biwakowanie. Część z Państwa rozbije namiot na polu namiotowym, które będzie bazą do jednodniowych wypadów. Inni wybiorą się na kilkudniową wędrówkę z plecakiem – no i oczywiście zestawem sprzętu niezbędnego do biwakowania. Oto kilka naszych propozycji na tego typu wypoczynek.

NIEZWYKLE PRAKTYCZNE PATAGONIA TORRENTSHELL PANTS



Cena: ok. 380 zł
www.patagonia.com

To ultralekkie spodnie zewnętrzne – ważą jedynie 260 g. 2,5-warstwowa membrana H2No® Performance Standard gwarantuje bardzo wysoki poziom oddychalności i wodoodporności. Profilowane kolana zapewniają wysoki komfort podczas użytkowania, a nogawki są rozpinane do połowy łydki i zakończone ściągaczami. Spodnie można spakować do lewej kieszeni, dzięki czemu całość zajmuje niewiele miejsca w plecaku. Spodnie z kolekcji Patagonia Torrentshell to uniwersalna propozycja dla turystów i wspinaczy.

KAŻDY WYBIERZE KOLOR DLA SIEBIE MARMOT PRECIP JACKET

To najpopularniejsza i najdłużej sprzedawana kurtka Marmota w Polsce. Firmowa, dwu-warstwowa membrana PreCip® zapewnia wiatroszczelność i wodoodporność, a przy wzmożonym wysiłku nadmiar wilgoci odprowadza na zewnątrz.

Dzięki specjalnej technologii Dry Touch, redukującej zjawisko kondensacji wilgoci i nieprzyjemnego uczucia zapocenia, w PreCip® Jacket zawsze można czuć się komfortowo. Ta kurtka to zdobywca wielu nagród i zwycięzca testów w najlepszych światowych magazynach outdoorowych. Dostępna jest w czterdziestu trzech kolorach i dwunastu rozmiarach! – zarówno w wersji dla mężczyzn i kobiet, jak i chłopców czy dziewczynek. PreCip® Jacket to kurtka niezwykle uniwersalna, dopracowana, w której każde rozwiązanie technologiczne służy osobie, która ją nosi.



Cena: ok. 400 zł
www.marmot.com

NIEZWYKLE UNIWERSALNE ADIDAS HYDROTERRA SHANDAL

Zwycięzca nagrody OutDoor Industry Award 2012, model Hydroterra Shandal, to imitujące sandały buty, które zapewniają wysoką ochronę i oddychalność, jakiej ani typowe buty, ani sandały nie potrafią zagwarantować osobno.

Obuwie Hydroterra jest unikalne również dzięki swojej budowie. Siateczka o otwartej strukturze zalaminowana została na miękkim piankowym szkielecie. Zapewnia to naturalny komfort użytkowania, jako że nie występuje bezpośredni kontakt stopy z jakimkolwiek uwierającym materiałem siatkowym. Ponadto konstrukcja posiada zredukowaną liczbę wewnętrznych szwów, co zapobiega podrażnieniom stopy i zmniejsza wagę butów. Są idealne do wszelkiego rodzaju sportów wodnych, jednakże dzięki swojej wytrzymałej konstrukcji sprawdzają się również jako lekkie obuwie hikingowe.



Cena: ok. 400 zł
www.adidas.com/outdoor

Cena: ok. 30 zł
www.corona-fishing.pl



DLA PRAWDZIWEGO WĘDKARZA CORONA FISHING ABOR

Abor to klasyczna przynęta na szczupaki. Ciężki i lotny jerk, który podczas zwijania charakterystycznie i wabiąco pracuje, rozdrażniając nawet najbardziej leniwe drapieżniki. Jerk firmy Corona Fishing jest wykonany w oparciu o doświadczenie i wiedzę najlepszych polskich rękodzielników, co gwarantuje niebywałe powodzenie. Pasjonaci spinningu dzięki tej przynęcie osiągną przyjemność z łowienia i skuteczność.

sprawdź ceny

ceneria.pl
outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 100 zł
www.varta-consumer.pl



Cena: ok. 155 zł
www.petzl.pl

MINIMALIZACJA I MOC PETZL TIKKA PLUS²

Mocna, wielofunkcyjna miniczołwka. Bardzo dobrze sprawdzi się na wielodniowych wycieczkach i trekkingach, pieszo lub na rowerze. Wyposażona w jedną mocną białą diodę z 3 trybami świecenia (maks, mini, pulsujący) oraz diodę czerwoną 3 mm, świecącą w trybie ciągłym lub pulsującym. Biała dioda emituje światło o natężeniu 70 lumenów (w trybie maksymalnym) i zasięgu do 40 metrów. Tryb ekonomiczny zapewnia długi czas świecenia, do 185 godzin. Czerwona dioda eliminuje efekt oślepienia lub w trybie pulsującym może służyć do sygnalizacji dla zwiększenia bezpieczeństwa, np. w terenie miejskim.

IDEALNA NA BIWAK LATARKA VARTA CAMPING LANTERN 4D

Ta latarka kempingowa o pięknym kształcie wyposażona jest w jasną 9-watową fluorescencyjną świetlówkę zapewniającą 360° oświetlenia. Ma wodoodporną obudowę wykonaną z tworzywa ABS i gumy oraz rozsuwalną rączkę.



SUPERNARZĘDZIE MULTITOOL LEATHERMAN WINGMAN



Cena: ok. 150 zł
www.militaria.pl

Multitool to kieszonkowa skrzynka z narzędziami. Ma składane kombinerki z przecinakiem do drutu oraz ostrze nożowe otwierane jedną ręką. Do tego nożyczki, pilniki, otwieracze, wkrętaki. W zestawie nożyk do bezpiecznego otwierania paczek. 25 lat gwarancji amerykańskiego producenta. Leatherman sprawdzi się w domu, samochodzie i na biwaku. Dostępny w salonach firmowych Militaria.pl oraz na www.militaria.pl

REKLAMA

LORNETKA DELTA OPTICAL FOREST II 8X42 POKAZAŁA CO POTRAFI!

Teraz możecie wierzyć słowom reklamy, że lornetka Delta Optical Forest II 8x42 jest jedną z najbardziej wytrzymałych lornetek w swojej klasie.



dobry zakup
Optyczne.pl

Serwis Optyczne.pl przeprowadził test wytrzymałościowy lornetek różnych marek m.in: w niskiej temperaturze, w wysokiej temperaturze, w wodzie, a także w testach na upadki. Po roku testów okazało się, że nasza lornetka Delta Optical Forest II 8x42, choć duuuuużo tańsza od testowanych konkurentek jest solidna i niezawodna - zdobyliśmy wyróżnienie Dobry Zakup!

To już trzecie wyróżnienie dla tego produktu. Wcześniej Delta Optical Forest II 8x42 otrzymała nagrodę „Sowa z Rogowa” (na Międzynarodowych Targach Leśnych w Rogowie w 2011 roku) i zajęła II miejsce w plebiscycie serwisu Optyczne.pl na Produkt Roku 2011 w kategorii Lornetka.

Lornetki z serii Forest II: **8x42** 449 zł, **10x42** 469 zł, **8.5x50** 539 zł, **10x50** 469 zł, **12x50** 499 zł



www.deltaoptical.pl/lornetki ★ blog: www.deltasky.pl ★ www.facebook.com/Delta.Optical.Polska

Mińsk Mazowiecki
Nowe Osiny, ul. Piękna 1
T. 801.011.337,
T. 25 747.80.04

Warszawa
Al. Jana Pawła II 19
Deloitte House
T. 22 786.05.28

Katowice
ul. Uniwersytecka 13
Budynek Altus
T. 32 729.94.90

Gdańsk
ul. Grunwaldzka 40/9
(od ul. Do Studzienki)
T. 58 739.52.10

DELTA
optical

blizie pasji



Cena: ok. 115 zł
www.kolba.pl

MULTI-SPRZĘT MFH – ZESTAW NACZYŃ

Zestaw naczyń turystycznych 3-osobowy, wykonany z aluminium anodowanego. Materiał ten jest o wiele lżejszy od klasycznie używanej w produkcji menażek stali oraz bardziej wytrzymały. Rączki są składane, pokryte ebonitem, dzięki czemu nie nagrzewają się. Po złożeniu zajmuje niewiele miejsca (19 x 12 cm), a w największym naczyniu mieszczą się wszystkie pozostałe, tworząc zwięzłą całość. Waga: 750 g.

GOTOWY NA WSZELKIE WYZWANIA NIKON COOLPIX AW110



Cena: ok. 1200 zł
www.nikon.pl

Został zaprojektowany z myślą o osobach prowadzących aktywny tryb życia. Aparat można przymocować na przykład do roweru, do plecaka lub do butli do nurkowania. Wytrzymały kompaktowy korpus jest odporny na kurz, wstrząsy i upadki z wysokości do 2 m oraz temperatury do -10°C. Jego szczelna konstrukcja umożliwia także nurkowanie do głębokości 18 metrów.

Aparat został wyposażony w matrycę CMOS w technologii BSI o rozdzielczości 16 megapikseli, szerokokątny obiektyw NIKKOR z 5-krotnym zoomem optycznym oraz wyświetlacz OLED o przekątnej 3 cali i dużej rozdzielczości 614 tys. punktów. COOLPIX AW110 rejestruje również filmy w rozdzielczości Full HD.

NAJMNIEJSZY I NAJLŹEJSZY PRIMUS EXPRESS SPIDER™

Jeden z najlżejszych i najmniejszych palników na rynku. Złożony mieści się w dłoni. Rozłożony zapewnia dużą stabilność dla każdego naczynia. Lata doświadczeń Primusa zaowocowały niezwykle dopracowanym, technicznym palnikiem, którego zalety docenią miłośnicy górskich wypraw i nie tylko. Waga 198 g, moc 2000W. W zestawie nylonowe etui transportowe.

Cena: ok. 250 zł
www.primus.se



Cena: ok. 11800 zł
www.swarovskioptik.com

NOWOCZESNOŚĆ I PRECYZJA SWAROVSKI OPTIK ATX/STX 25-60X65



To nowa generacja lunet. Seria ATX/STX ma modułową, ergonomiczną budowę umożliwiającą całkowicie nowe spojrzenie na świat. Dwa moduły muszli ocznej (prosty/nachylony) i trzy moduły obiektywów (o średnicach 65, 85 i 95 mm) można montować w różnych kombinacjach, tworząc sześć różnych lunet. Wszystkie niezbędne elementy można z łatwością i bezpiecznie przenosić. Po raz pierwszy pierścienie do ustawiania ogniskowej i do regulacji ostrości zostały umieszczone obok siebie, umożliwiając intuicyjną i szybką obsługę lunety jedną ręką. Zintegrowana osłona przeciwsłoneczna z regulacją długości wraz z przyrządem celowniczym i osłonami ochronnymi sprawiają, że sprzęt jest wygodny w użyciu i niezawodny w każdej sytuacji.

MARABUT LADAKH

Marka Marabut od lat jest obecna na rynku outdoorowym i dla wielu osób jest synonimem dobrych namiotów. Produkty firmy towarzyszyły śmiałkom na wielu różnych wyprawach. Zebrane przez lata doświadczenie i cenne uwagi od użytkowników pozwoliły stworzyć nowy produkt – model Ladakh. Jego nazwa wyłoniona została w konkursie internetowym, co już nadało dodatkowego smaku premierze namiotu. Czy nowe dziecko Marabuta będzie jak jego nazwa, czyli kraina pomiędzy głównym pasmem Himalajów a górami Karakorum? Na to pytanie muszą Państwo sobie odpowiedzieć sami. My zaś przetestujemy go i podamy fakty.

Namiot na pierwszy rzut oka przypomina model Arco, zatem wygląda jak „rasowa wyprawówka”. Niski, z dużymi przedśionkami, z najwyższej jakości materiałów. Jednak po konstrukcji i wadze (3,8 kg) można wnioskować, że jego twórcy zaprojektowali go jako wygodny i przestronny namiot nie tylko na ekspedycje, ale również na trekking. Aluminiowy stelaż stanowią 3 pałki, każdy z nich lekko zgięty przy końcach. Dzięki takiemu rozwiązaniu tropik tworzy większy kąt z podłożem, co daje nieco większą przestrzeń przy brzegach namiotu, bez dodatkowych zakładów materiałowych (a co za tym idzie – wagi). Spora sypialnia i przestronny przedśionek zapewnią duży komfort 2 osobom z pełnym ekwipunkiem. Jednak przy dobrym ułożeniu sprzętu namiot pomieści również 3 osoby. Ladakh ma 2 wejścia, co istotnie wpływa na poprawę wentylacji i wygodę użytkownika. Każde z nich po otwarciu można zrolować i zapiąć. Dodatkowo namiot wyposażony jest w 2 duże otwory wentylacyjne, które dzięki specjalnej konstrukcji wne-



trza namiotu można zamknąć bez konieczności wychodzenia z niego. Wielu użytkowników z pewnością doceni fakt dużej ilości kieszonek – są one umieszczone na całej szerokości namiotu po obu stronach. Oczywiście jest również siateczkowa „półeczka” pod sufitem, którą – jeśli chcemy – możemy wypiąć. Istotną także kwestią są użyte w nim materiały. Podłogę stanowi tkanina PE o wodoodporności 10000 mm H₂O. Jest ona również gruba i mocna, co gwarantuje odporność na przetarcia. Tropik to poliester rip-stop PU (3000 mm

H₂O) z filtrem UV, zapewniający odporność na silne promieniowanie UV – szczególnie niebezpieczne w wysokich górach. Testowany model posiadał również fartuchy przeciwśnieżne, z doszytymi oczkami na rogach każdego z odcinków – dla lepszego przymocowania do podłoża (np. rozbijając się na trawie i chcąc wyeliminować odczuwanie podmuchów wiatru). W skład zestawu wchodzi 15 szpilek w kolorze pomarańczowym, co ułatwi zauważenie ich w trawie czy na innym podłożu.

Moim zdaniem jest to bardzo uniwersalny namiot. Z jednej strony dzięki wadze nadaje się na kilkudniową wędrowkę, z drugiej – dzięki użytym materiałom i fartuchom sprostą wysokogórskim warunkom. Co również istotne, producent daje na niego 3 lata gwarancji.

To godny polecenia namiot, dla osób, które podróżując w różnych warunkach pogodowych, liczą na niezawodny i komfortowy produkt.

Grzegorz Miedziński



Kolonie wagonowe

W latach międzywojennych w ramach edukacji patriotycznej zachęcano Polaków do odpoczynania nad Bałtykiem. Bodźcem do rozwoju masowej turystyki była wspierana przez rząd akcja „Święto Morza”, zainicjowana w 1932 roku. Z powodu słabo rozwiniętej bazy noclegowej powstał problem zakwaterowania ogromnej rzeszy turystów. Umieszczano ich zatem w koszarach, halach fabrycznych, a także w odstawionych na bocznicie wagonach kolejowych.

Na zdjęciu: dzieci podczas posiłku na koloniach letnich na Półwyspie Helskim.







LONG ISLAND



BORNEO



AFGANISTAN

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski
naczelnym@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Julia Michalczyńska
redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski, Józef Baran,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Michał Kochańczyk, Marcin Kołpanowicz, Romuald
Koperski, Sławomir Kozdraś, Tomasz Michniewicz,
Robert Mazurek, Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika & DTP & Prepress
Artur Bury

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak tel. 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Waży Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 583 508 464

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama świata
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

Reklama regionalna
aleksandra.gasowska@poznaj-swiat.pl
tel. 603 316 627

Reklama outdooru i elektroniki
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Reklama agencyjna
Active V Media Sp. z o.o.
biuro@avm.net.pl tel. 22 620-04-77

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania
redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam
i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi
przekonaniami ich autorów.



VARTA

Idealne **baterie** do zabawek i nowoczesnych urządzeń





Impreza na każdy dzień

Znajdź swoje top wydarzenie wraz z informacją o zbliżających się terminach na www.germany.travel/eventhighlights



Supported by:



on the basis of a decision by the German Bundestag

Travel Destination Germany
© German National Tourist Board

Niemcy
Cel podróży

